Nr. 20. Poznań, niedziela 17-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Walka prasy niemieckiej
z Sokołami.

Nie ma tak wielkiego nonsensu i tak krzyczącej bredni, które puszczone w świat przy pomocy dzienników nie znalazłyby wiary u znacznej części czytającej publiczności. Gdy przed kilkunastu dniami „Dziennik Poznański“ zamieścił „sensacyjną“ wiadomość o żywym majtku wykrojonym z wielorybiego żołądka, gdzie przez dobę całą od chwili połknięcia snem błogosławionych spoczywał, mnóstwo ludzi, nawet z wyższej inteligencyi, opowiadało sobie legendę o nowym Jonaszu jako fakt autentyczny. Znane są również pod tym względem kwietniowe dowcipy berlińskiego „Tageblattu“ i warszawskich „Kuryerów“; rok w rok tysiące ludzi idzie na lep humorystów snujących najfantastyczniejsze legendy o cudownych wynalazkach, niebywałych zboczeniach od praw natury, wizytach śmiałych żeglarzy na Marsie i Jowiszu itp.

O! łatwowierność ludzka jest zdumiewającą. Tam nawet, gdzie sekunda namysłu i atom logiki wystarcza, by fałsz odcyfrować, ona się łudzi bez końca, a cóż dopiero dziwić się tłumom, że dają posłuch politycznym fantazyom i plotkom, nie wykraczającym z szerokich ram prawdopodobieństwa. Tę wiarę w drukowane słowo wyzyskuje bezprzykładnie wiek XIX, i nieomal w całej prasie europejskiej grasuje bezkarnie fałsz tendencyjny, rzucając bielmo na oczy czytelników, wykrzywiając pojęcia, rozpalając namiętności partyjne lub narodowe. My Polacy zaboru pruskiego, doświadczyliśmy już nieraz na sobie ostrza tej dziennikarskiej suggestyi, praktykowanej z wręcz rafinowanym cynizmem przez niemiecką prasę, a w najświeższych czasach najliczniejsze laury w dziedzinie drukowanego kłamstwa zdobyły sobie organy Hakatystów. Wypisawszy w programie swoim hasło śmiertelnej walki z polskim żywiołem, postanowiły one przedewszystkiem wpoić w społeczeństwo niemieckie to przekonanie, że wschodnie prowincye to wulkan, gotowy każdej chwili zionąć ogniem niszczącym i zniszczyć wszystkie ślady germańskiego życia. W tym celu zorganizowano systematyczne fałszowanie opinii, rozsiewając przy pomocy kilkuset małych i wielkich dzienników rafinowane kłamstwa o dążeniach ludności polskiej, o prześladowaniu Niemców i przerażającem spotęgowaniu żywotności naszej na wschodnich kresach państwowych. Po całych Niemczech rozchodziły się legendy o groźnych chmurach gromadzących się w Poznańskiem, na Warmii, w Prusach Zachodnich i Szląsku, a łatwowierne tłumy niemieckie coraz głośniej wołały o ratunek, o ochronę ojczyzny, o zagładę wrogów. I rzecz dziwna! W tej samej chwili, gdy prasa nasza coraz częściej i coraz boleśniej skarżyć sie zaczęła na wyjałowienie, zubożenie i wystudzenie społeczeństwa polskiego, w tej samej chwili, gdy dziennikarstwo innych zaborów z trwogą wskazywało na patologiczne symptomy życia naszego, na zlojalizowanie całego kraju, na skarłowacenie moralne młodzieży, na brak zapału, energii i poświęcenia, na rosnącą apatyę i rozbicie, w tej samej chwili prasa niemiecka deklamowała o duchu rewolucyjnym, o rosnących siłach, o wytrwałości i męstwie, o szowinizmie i solidarności, o zaborczych dążeniach i „wielkopolskich“ tendencyach społeczeństwa naszego. Pod naciskiem takich rozmyślnych fałszów Bismarkowska idea polityki pruskiej coraz silniejsze zapuszczała korzenie, drwiąc z lojalnych umizgów klerykalno-ugodowego stronnictwa i wysilając się na jaknajściślejsze i wszechstronne skrępowanie życia polskiego.

Fałszerze opinii tryumfowali i rozzuchwaleni powodzeniem całą siecią najpotworniejszych wymysłów otoczyli wschodnie prowincye. Klasycznym przykładem tej niebezpiecznej roboty stała się w najświeższym czasie systematyczna walka ze związkiem polskich Sokołów czyli towarzystw gimnastycznych. Zrazu zaczęto wskazywać ogólnikowo na rzekomo polityczno-narodowy charakter wszystkich stowarzyszeń polskich i sprowadzono całą gromadę szykan policyjnych, urągających najelementarniejszym zasadom równouprawnienia, na spokojne korporacye, służące oświacie, towarzyskiej rozrywce lub obronie interesów zawodowych. Później zwrócono się z szczególną natarczywością przeciw „Sokołom“ polskim i wysilono całą fantazyę, aby w opinii niemieckiej zbudzić przekonanie, że tu właśnie jest ognisko narodowego ruchu, tu najsilniejszy szaniec polskości.

Odezwa wydziału związkowego, wzywająca drużyny sokolskie na zlot sierpniowy do Poznania, wprawiła zgraję Hakatystów w prawdziwy paroksyzm rozszalałej nienawiści. W mgnieniu oka wytoczono armaty najcięższego kalibru i zaczęto wołać na wschodzie i zachodzie państwa, że zlot sokolski to „rewia wojsk polskich“, że Sokół jest wyobrażeniem „narodu w mundurze i zbroi“, że gimnastyka to tylko środek wiodący do militarnych celów, a ptak królewski ma pióra czerwone o barwie demokracyi i republiki. Położenie nacisku na antitronowe tendencye Sokołów było apelem do wyżyn królewskich, a cała napaść stała się ostrą igłą drażniącą nietylko szowinizm niemiecki, lecz monarchiczne i dynastyczne uczucia narodu.

Mimo jaskrawej, bezwzględnej, pozbawionej jednego atomu sensu kłamliwości powyższej denuncyacyi, biegła ona na skrzydłach dzienników z błyskawiczną szybkością, siejąc niepokój i oburzenie na wielkich obszarach państwa niemieckiego, a najdziwniejszem jest to, że powtórzyła ją nawet liberalna „Posener Zeitung“, która dotychczas nie odgrywała roli lokaja wobec dążeń Hakatystów i odznaczała się często względnie bezstronną oceną stosunków naszych. Zdaje się również, że w sferach urzędowych idyotyczna plotka znalazła łatwowiernych słuchaczów i przeciw spokojnym towarzystwom gimnastycznym zwraca ostrze policyjnych repressalii, lubo prawie nieprawdopodobnem wydać się musi, by władze miejscowe, kontrolujące od lat 10 legalną, otwartą, wszelkich ubocznych dążeń pozbawioną pracę sokolską, uwierzyć miały baśniom Hakatystów. Cała dotychczasowa działalność Sokołów, statuty i organizacya, zebrania i zloty świadczą najwyraźniej, że fachowa, systematycznie pielęgnowana gimnastyka jest pierwszym i niemal wyłącznym celem znienawidzonych przez prasę niemiecką towarzystw, bo nawet pieśń polska, uprawiana na wieczornicach i w marszach, jest tylko środkiem pomocniczym, służącym na mocy praw fizyologicznych i psychologicznych ćwiczeniom fizycznym. Mają niemieckie Turnery swoją pieśń niemiecką, czemużby Sokoły wyrzec się miały śpiewu polskiego, by wspierać siły omdlałe?

Zaiste! wywiera to niemal humorystyczne wrażenie, że szowinizm niemiecki wytacza najcięższe swe działa właśnie przeciw tym towarzystwom, które tak zwanemu budzeniu ducha polskiego najskromniejsze

oddają usługi, bo wykluczyły one z rzadkich posiedzeń swoich wszelkie odczyty i wszelkie pogadanki historyczne i literackie, a nawet do obchodów pamiątek narodowych tylko wyjątkowo i trochę niedbale przykładają rękę. Prężnik zaś i poręcze chyba nie są rozsadnikami rewolucyi, patryotyzmu i republiki. „Lecz mundur — mundur sokolski!“ — wołają alarmiści niemieccy. Czyżby „naród filozofów“ nie rozumiał, że chcąc tłumy szerokie pociągnąć do jakiejkolwiek nowej idei, trzeba je zrazu nęcić błyskotkami? Czyżby synowie Kantów, Leibnitzów i Heglów pojąć nie mogli, że Sokół torując dla zaniedbanych ćwiczeń fizycznych drogę w obojętnem i rozleniewiałem społeczeństwie, musiał wyzyskać ludzkie upodobania do blichtru i dekoracyi, aby zjednać sobie zwolenników i zdobyć umysły. Księga sokolskiego życia stoi dla wszystkich otworem. Niechaj władze zbadają każdą stronnicę, każde słowo nawet, zamiast na oślep dawać wiarę fałszom rozsiewanym przez garść fanatyków niemieckich.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej;

„Młoda Polska“ w zaborze pruskim. W krakowskim miesięczniku „Krytyka“ ukazał się pod powyższym tytułem artykuł Leona Wasilewskiego, z którego cytujemy ustępy następujące:

„Komu nie są obojętne sprawy zaboru pruskiego, ten z pewneścią musiał zwrócić uwagę na grono przedstawicieli młodej, postępowej inteligencyi wielko-polskiej, kupiącej się dokoła założonego przed dwoma laty w Poznaniu tygodnika „Przegląd Poznański.“ Nie stanowiąc zorganizowanego stronnictwa, grupa ta, chętnie przybierająca nazwę „Młodej Polski“, nie może brać udziału wybitnego w życiu politycznem i społecznem Wielkopolski, lecz pragnie na razie w miarę sił i zdolności wpływać na opinię publicznie za pomocą swego organu, który na jałowym gruncie poznańskim stanowi zjawisko pocieszające. Rozpoczawszy wydawnictwo „Przeglądu Poznańskiego“, „Młoda Polska“ podjęła się zadania bardzo niewdzięcznego ze względu na ogólne położenie zaboru pruskiego.

Smutny jest stan społeczeństwa polskiego w tym zaborze. O żadnym ruchu umysłowym w Poznańskiem lub w Prusach Zachodnich nie ma mowy. „Literaturę“ reprezentuje tam parę pism ludowych, „Pamiętnik“ Towarzystwa przyjaciół nauk, zapełniony pracami częstokroć bardzo wątpliwej wartości i garść pism politycznych, przeważnie prowadzonych nader nędznie. Lud wiejski zaboru pruskiego stosunkowo wyżej stoi pod względem kulturalnym od włościaństwa innych dzielnic, ale nie ma jeszcze wyrobionego poczucia swych interesów klasowych... Panem zaś sytuacyi jest wszechpotężny, wzorowo zorganizowany, trzęsący wszystkiem i nadający ton całemu życiu publicznemu — kler katolicki.

W chwili wystąpienia „Przeglądu Poznańskiego“ (r. 1894) sytuacya politycz a zaboru pruskiego przedstawiała się w ten sposób. Z jednej strony szlachta, sprzykrzywszy sobie politykę opozycyjną i bezowocne powoływanie się na traktaty, prowadziła politykę ugodową, sądząc, że popierając rząd i głosując w parlamencie za wszystkimi jego wnioskami, uzyska daleko sięgające ustępstwa na rzecz ludności polskiej. Z drugiej strony wciąż wzmagający się ruch ludowy, kierowany przez redaktora „Orędownika“ dra Szymańskiego, coraz głośniej protestował przeciwko oligarchii szlacheckiej. Drobnomieszczaństwo, pod wodzą dra Szymańskiego, który z dawnego lojalisty przedzierzgnął się w stronnika bezwzględnej opozycyi(?) rozbijało zgromadzenia zwoływane przez szlachtę, burzyło się nawet przeciwko duchowieństwu, ale żadnego skrystalizowanego programu nie posiadało. Podczas wyborów do parlamentu na całej linii zwyciężyli ugodowcy a kandydat dobromieszczański w Poznaniu, główny kierownik całego ruchu ludowego, dr Szymański, otrzymał nie o wiele więcej głosów od kandydata młodej, słabej partyi socyalistycznej.

„Młoda Polska“ wystąpiła na arenę pod hasłem walki zaciętej „o infuzyę krwi świeżej do anemicznego organizmu społeczeństwa wielkopolskiego, o prawa obywatelstwa dla humanitarnych prądów i postępowych idei, o emancypacyę uczuć narodowych, zgłuszonych fajerwerkami lojalizmu i grzechotem legionów klerykalnych, o zmartwychwstanie literatury i piękna na poznańskim gruncie, o tolerancyę przekonań, swobodę myśli i głos dla gwałconych bezprzykładnie praw etyki i równości obywatelskiej.“

Jakiż jest stosunek „Młodej Polski“ do istniejących już na gruncie wielkopolskim stronnictw politycznych? Wychodząc z założenia, że Rzeczpospolita upadła, ponieważ nie posiadała warunków organizmu państwowego, „Młoda Polska“ widzi przyszłość narodu w odrodzeniu społeczeństwa na zasadach demokratycznych. „Dopóki to nie nastąpi — powiada „Przegląd poznański“ — nie wierzymy, żeby naród nasz mógł zająć samodzielne stanowisko w rodzinie narodów europejskich Nie wierzymy w skuteczność gwałtownych wysileń, ale wierzymy w rozwój sił społecznych, pod których niepohamowanem parciem pęka obręcz, krępująca żywy jeszcze organizm.“ Z tej przyczyny „Młoda Polska“ sądzi, że dla narodu pozbawionego niepodległości politycznej, wewnętrzny, i kulturalny postęp ma daleko większe znaczenie, aniżeli polityka, która prz radzając się w czcze politykowanie, wyczerpuje najlepsze siły umysłowe społeczeństwa w jałowych sporach o zużyte hasła. Ten właśnie rozwój wewnętrzny jest rękojmią lepszej przyszłości narodu ....

„Przegląd Poznański“ od samego początku niezmordowanie walczył z ugodowcami, przemawiając w obronie polityki samodzielnej, opozycyjnej argumentami nader przekonywajacemi. Jeszcze wówczas, kiedy ugodowcy wycierając p zedpokoje pałacu cesarskiego w Berlinie, łudzili swych wyborców obietnicami, które nigdy nie miały się ziścić, „Przegląd Poznański“ zapowiadał blizkie bankructwo polityki ugodowej i wskazywał na Czechy, gdzie naród, walcząc do upadłego, zdobywa jeden posterunek za drugim. Dziś, kiedy społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim zupełnie rozczarowało się do polityki ugodowej, którą broni tylko garść posłów z berlińskiego „Koła“, odgrywającego takąż samą haniebną rolę, jak i „Koło“ wiedeńskie; kiedy nawet najlojalniejsze pisma polskie w Poznaniu zaczynają trąbić do odwrotu, „Przegląd Poznański“ może z zadowoleniem twierdzić, że w tem jest cząstka i jego zasługi....

„Przegląd Poznański“, nie występując nigdy przeciwko dogmatom religijnym, broniąc tylko niezależności wiedzy, zwalczał i zwalcza klerykalizm z całą energią... Ma się rozumieć, że klerykalizm wielkopolski jeszcze długo będzie miał wpływ ogromny, a duchowieństwo będzie przez znaczny czas jeszcze

---

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

(Ciąg dalszy).

Nie odczuwana od dawna siła jakaś szarpnęła wszystkie struny moralne w jego duszy — stanął więc jak posąg, zasłuchany w tę pieśń, niesłyszaną od pół wieku i wchłaniał w duszę całą jej świeżość i naiwność. Rozbudziła ona w nim cały rój wspomnień i szereg obrazów wywołała, które go w jednej chwili otoczyły, jakby na skinienie jakiego czarodzieja.

Niespodziankę tę sprawił mu nowy organista z Rybnicy, który z kolędą wszystkie domy objeżdżał. W dawnym spisie kolatorów i dobrodziejów znalazł Nenadychę. Mówiono mu, że tam od trzydziestu lat nigdy noga księdza katolickiego nie postała, ale poszedł spróbować — i spróbował.

Iwan Matwijowicz słuchał z rozkoszą i rozrzewnieniem, których od dawna, od bardzo dawna nie doznawał. Zdało mu się, że ze słów tej pieśni, słyszanej w latach dziecinnych, spływały w jego duszę łagodne i spokojne wrażenia. Ile razy zwrotka zakończyła się słowami:

A pokój na ziemi...

tyle razy uczuł mocne drgnięcie serca, żal za tem, co przeszło i do tych ludzi, śród których tak jednostajnie upływało jego życie.

Gdy stał w środku pokoju, zamyślony i zasłuchany w pieśni, rozlegającej się głuchem echem wśród mroźnego powietrza, wbiegła na pół przestraszona Katia.

— Co to jest? Co to za śpiewy? Pozwoliłeś?

Wzrok jej zdziwiony biegł od szyby okiennej do zamyślonej twarzy milczącego męża, który zamiast odpowiedzi ręką tylko ku niej skinął.

— Co to za zuchwałość! — krzyknęła. — Cóż stróż nocny robi, że śmie tutaj puszczać, przed okna dworu, włóczęgów?

Iwan Matwijowicz nie odpowiadał. Kolędnicy właśnie ostatnią zwrotkę kończyli. Żona stała zdziwiona, nie umiejąc pogodzić zachowania się męża z tą jego wyrozumiałością, nieznaną dawniej.

— Daj im pokój — odezwał się wreszcie. Zwrócił się do biurka otworzył i wyjął ciemno-szafirową asygnatę, którą do rąk żony wcisnął.

— Każ im oddać...

— Waniusza... omyliłeś się — rzekła, przenosząc wzrok swój od asygnaty w ręku trzymanej do twarzy męża.

Wziął „bumażkę“ z rąk żony, schował machinalnie i z równą obojętnością wyjął inną — różową.

Wprawiło to w podziwienie jeszcze większe Katię.

— Waniusza... co tobie? To dziesięć rubli...

Iwan Matwijowicz niecierpliwie zawołał:

— Daj im... daj... zostaw mię w spokoju...

Katia zmierzyła go pogardliwie od stóp do głowy i szepnęła.

— Duraczestwo...

Wyszedłszy, w sąsiednim pokoju spotkała się z „batiuszką“.

— Co to się stało? — spytał z akcentem podziwienia i niepokoju.

— Znowu pijany... dla polskich kolędników dał dziesięć rubli.

Pokazała ojcu papierek w ręku trzymany.

Oczy popa błysnęły gniewem.

— Zmarnuje... zmarnuje wszystko... przepije i rozda...

Nagle zwrócił się do córki.

— Zawołać Griszkę .. każesz tych włóczęgów polskich wypędzić zaraz... Jeszcze czego brakło! Dziś jednej kupie, da dziesięć rubli, a jutro druga przyjdzie...

Iwan Matwijowicz nic o tej naradzie nie wiedział.

Tymczasem zachowanie się jego od dłuższego czasu zwróciło na się pilną uwagę codziennego otoczenia. Przedewszystkiem przestał pić i grać w karty i zdawało się, że umyślnie unikał towarzystwa, w którem dawniej dnie i noce przesiadywał, a pragnąc czas swój czemkolwiek zająć, zwrócił się do książek. Gdy przyszła wiosna, a z nią dnie cieplejsze, spędzał je z upodobaniem w ogrodzie, a nawet w polu, wśród robotników i gospodarstwa. Nie przeszkadzało mu

potęgą niebezpieczną, i zasługą „Przeglądu Poznańskiego“ jest to, że on pierwszy wszczął walkę, która musi się skończyć zwycięstwem prądów postępowych.

Względem drobnomieszczańskiego ruchu ludowego zachowuje się „Młoda Polska“ z pewną rezerwą. Razi ją ta forma brutalna, w jakiej „ruch ludowy“ się przejawia, ale traktuje go objektywnie, broniąc w obec napaści prasy szlachecko-klerykalnej. Nie zgadzając się ze wszystkiemi dążnościami ruchu ludowego, „Przegląd Poznański“ powiada: „w ruchu ludowym widzimy zapowiedź zdrowszego kierunku politycznego. Ruch ludowy — to objaw ewolucyi społecznej. Mamy przekonanie, że ruch ten ma przyszłość przed sobą, że rozleje się od Pszczy y aż do Warmii po całym zaborze pruskim i że swym ciężarem przygniecie wszystkie nasze koterye. Jest to tylko kwestya czasu.“

Jako pismo literackie i naukowe organ „Młodej Polski“ może stanąć godnie obok warszawskich pism tego rodzaju. Stara się on zapoznać swych czytelników z nowożytnemi prądami w literaturze, sztuce i nauce, udzielając głosu najwybitniejszym siłom publicystycznym wszystkich trzech zaborów. Na liście współpracowników „Przeglądu Poznańskiego“ figurują imiona publicystów obozu postępowego wszystkich odcieni. Wychodzi to poniekąd na niekorzyść pisma, ponieważ nadaje mu charakter niejednolity, ale oddaje usługi społeczeństwu, zasklepionemu w koteryjności zaściankowej, rozszerzając jego horyzonty umysłowe. Zasługą „Przeglądu Poznańskiego“ jest poruszanie kwestyi drażliwych, o które inne pisma boją się potrącać. Świetne fejletony Sulli (redaktora dra Władysława Rabskiego), pisane barwnym, iskrzącym się stylem, ogromnie ożywiają organ „Młodej Polski“.

Za krótka jest działalność „Młodej Polski“ i jej organu, aby można było mówić o jakichś donośnych rezultatach. To tylko pewne, że dziś „Przegląd Poznański“ wywiera już wpływ znaczny na młodsze pokolenie inteligencyi wielkopolskiej, ucząc je myśleć i wskazując mu pole pracy.

* * *

R e z y g n a c y a L u e g e r a. Korespondent „Kraju“ petersburskiego donosi:

Każdy, obeznany ze stosunkami tutejszemi, oddawna przewidywał, że rozwiązanie kwestyi wiedeńskiej na razie nastąpi w ten sposób, że wprawdzie dr. Lueger nie zostanie burmistrzem, ale otrzyma sposobność złożenia dowodu uzdolnienia na posadzie wice-burmistrza. Czy w ciągu tej naturalnej ewolucyi wystąpi osobista interwencya cesarza, tego wprawdzie nie przewidywano, ale licuje ona zupełnie z patryarchalnym stosunkiem, który oddawna istnieje pomiędzy dworem a wiedeńczykami. Stosunek ten w całej swej dobroduszności uwydatniał się np. w czasie sławnego kongresu wiedeńskiego, który nagle w licznych obrazach, rysunkach, sztychach, sprzętach itd. odżył przed nami na wystawie kongresowej w pałacu muzeum przemysłowego. Wtedy nawet majętni mieszczanie ubiegali się o zaszczyt wdziania liberyi lokajów dworskich, byle zbliska przypatrzeć się, jak cesarz Franciszek podejmuje swych dostojnych gości. Od tego czasu wprawdzie charakter wiedeńczyków niby to uległ zmianie, jeżeli jednak porównamy np. styl dzisiejszego „Kikeriki“ z wychodzącemi w czasie kongresu „Listami Eipeldauera“, łatwo zrozumiemy, że owa zmiana nie jest znaczną. Bądź co bądź, sam fakt, że cesarz osobiście p. Luegerowi wyraził życzenie, aby się zrzekł godności burmistrza, nietylko wystarczył trybunowi do dokonania odwrotu, ale także stronnictwo antysemickie, wyjąwszy jego najradykalniejsze skrzydło, pogodził z kombinacyą, której przez 6 miesięcy się opierało. Oczywiście p. Lueger nie byłby dostąpił posłuchania w Burgu bez zgody prezesa gabinetu. Nie może więc być mowy o tem, aby ta ewolucya zmniejszała powagę i wpływ hr. Badeniego.

Dla rządu w tej chwili ustały wszelkie trudności, wynikające z kwestyi wiedeńskiej. Natomiast stronnictwo antysemickie, przechodzące ze stanowiska opozycyi q u a n d m ê m e na trudniejsze stanowisko pozytywnej pracy, teraz dopiero narażone będzie na najcięższą próbę. Według uchwał antysemickiego klubu mieszczańskiego, burmistrzem będzie wybrany p. Schlesinger, pierwszym wice-burmistrzem dr. Lueger, drugim dr. Kupka. P. Józef Schlesinger, urodzony w r. 1831, jako syn tkacza, w r. 1858 ukończył w Wiedniu studya techniczne, od r. 1866 był nauczycielem szkoły realnej, a obecnie jest profesorem geometryi w tutejszej akademii agronomicznej i zasiada w izbie poselskiej, a także w radzie miejskiej. W izbie poselskiej p. Schlesinger stał się figurą komiczną. Ilekroć rozpoczyna który ze swych dwugodzinnych wykładów o walucie, o wspaniałych starych papierkach, którym portret cesarski nadaje więcej wartości, niż jej posiada ohydne złoto, posłowie wszystkich stronnictw znikają z sali i zaledwo dwóch czy trzech wiernych towarzyszy antysemickich z obowiązku asystuje odczytywanym zwykle monologom profesora i fanatyka papierków. Nie zadawalając się mowami, sumiennie przechowanemi w protokóle stenograficznym, p. Schlesinger raz po raz ogłasza grube broszury najczęściej o walucie, rozkładane przez służących izby na pulpitach poselskich, ale pono rozcinane bardzo rzadko. Na godność burmistrza kwalifikuje go pono serdeczna przyjaźń z d-rem Luegerem. Innej kwalifikacyi istotnie przy najlepszej woli trudno się dopatrzeć w tym kandydacie. Wobec tego, że posada burmistrza, pobierającego 24 tys. fl. pensyi, oprócz książęcego iście mieszkania w ratuszu, wymaga pewnych choćby tylko fizycznych zdolności reprezentacyjnych, trudno odgadnąć, jak tym obowiązkom podoła p. Schlesinger. W każdym razie na tem szarem tle zupełnej mierności postać pierwszego wiceburmistrza odbijać będzie tem świetniej i też tylko chyba ten wzgląd mógł spowodować postawienie kandydatury p. Schlesingera.

Po za temi kwestyami osobistemi czyhają donioślejsze trudności, wynikające przedewszystkiem z przesadnych obietnic, za pomocą których stronnictwo antysemickie dobijało się zwycięztwa na wyborach. A nadto po za masą 50 tys. wyborców antysemickich coraz dobitniej występują jeszcze liczniejsze masy demokracyi społecznej. Wystarcza przypatrzeć się dzisiejszej majówce obozu p. Adlera, aby zrozumieć kłopoty, na jakie z tej strony narażonym będzie nowy zarząd stolicy. Na Schottenringu w dzień 1 maja od godz. 2 do 3 bez przerwy w szeregu do 10 osób demonstranci społeczni maszerowali do Prateru. Dzienniki nie wyszły po południu i nie wyjdą jutro rano. D e f a c t o tłumy przeparły święto, a w przyszłym roku, jeżeli nie w bieżącym jeszcze, na podstawie powszechnego głosowania w 5 kuryi rozpocznie się zacięta walka pomiędzy zwolennikami p. Luegera, a armią p. Adlera. Przypuszczać więc, że objęcie zarządu miejskiego wróży antysemitom epokę spokojnego używania, a stolicy epokę idylicznej zgody byłoby dziwnym optymizmem. Przeciwnie zanosi się na walki zaciętsze, niż dotychczasowe.

* * *

G a l i c y j s k i e s t r o n n i c t w o l u d o w e. Do warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego“ piszą z Krakowa:

„Proces społeczno-polityczny, który pod mianem ruchu ludowego po raz pierwszy dobitnie zaznaczył się w czasie ostatnich wyborów sejmowych, żywo i nieustannie postępuje naprzód. Przybyło mu prze-

---

jednak od przypadkowej swojej rodziny stać nieco na uboczu i nie zbliżać się przez karty i gorzałkę, jak to dawniej czynił.

Drażniło takie zachowanie się „sprawnika“ i popa, którzy przy „stukałce“ i „jeryłaszu“ żartowali z Iwana Matwijowicza.

— Barinom zażił — powiadał sprawnik.

— Na romantyka choruje — dodawał pop.

W tych żartach czuć było jednak nutę obrazy osobistej i niezadowolenia, które streszczały się niezmiennie w uwadze:

— Dziki człowiek... prawdziwy dziki.. W skórę wilczą go tylko ubrać i do lasu puścić...

Iwan Matwijowicz wiedział o tem, jaką ma opinię, ale się wcale z tego powodu nie martwił i w niczem postępowania swego nie zmienił. Im bardziej odsuwał się od długoletniego towarzystwa, tem z większą miłością zbliżał się do syna, nawiązując z nim długą korespondencyę, pełną troskliwości o przyszłość. Już od lat kilku, od chwili, kiedy Pietia do uniwersytetu wstąpił, między ojcem a synem następowało coraz większe zbliżenie się, które teraz przerodziło się w rodzaj przyjaźni dwóch pokoleń, dwóch światów, myśli i uczuć różnych, a jednak pokrewnych sobie.

Po długiem oczekiwaniu nadeszły wreszcie Zielone Święta i Pietia przyjechał na dwutygodniowy odpoczynek. Był to ostatni odpoczynek przed ostatnim egzaminem. Potem miała się rozpocząć inna nauka — życie.

Zjechali się domownicy i przyjaciele i po dawnemu rozpoczęła się pijatyka, po dawnemu „jeryłasz“ i „stukałka“ nieprzerwana przez dnie i noce, z nieprzerwaną zakąską i wódką. Pietia nie dał się wciągnąć. Z początku był obojętnym świadkiem, potem nudził się, a potem wraz z ojcem szedł do ogrodu i chodząc w ciemnych alejach lip i brzostów, długie i gorące prowadził z nim rozmowy. Do towarzystwa domowego nie zdradzał ani chęci, ani zaufania.

— Wiesz ojcze — mówił gdy się już sami znaleźli — muszę się przyznać przed tobą, że do mundurów policyjnych osobliwej sympatyi...

Iwan Matwijowicz uczuł, że zimno przeszło mu po za skórą. On także do tych mundurów sympatyi nie miał, ale się ich lękał instynktownie, jak inni.

— Pietia, Bóg z tobą... cicho, zmiłuj się.

Oglądnęli się obydwaj poza siebie, jakby się umyślnie przekonać pragnęli, czy istotnie nikt ich nie podsłuchuje.

— Nie cierpię ich — rzekł Pietia z akcentem; — jak pies szuka zwierzyny, tak oni węszą, czy w czyjem sercu jaka świeża, nowa myśl nie zabrzęczy. Oni muszą ją wytropić i zamordować...

Ojciec wyszeptał z trwogą:

— Dajże pokój... zmiłuj się...

Syn czuł się jednakże podrażniony samem wspomnieniem policyi, bo na przestrogi ojca nie zważał wcale.

— Oni są tymi „opricznikami“ carskimi, którzy niegdyś dusili i grabili wszystkich nieposłusznych...

Między ojcem a synem wywiązała się na ten temat bardzo ożywiona rozmowa, — przez jednego prowadzona półszeptem, przez drugiego z rozgoryczeniem młodzieńczem.

Nagle ojciec za ramię ujął syna i rzekł szeptem:

— Cicho...

Na progu werandy ukazała się beczkowata postać sprawnika. Stanął we drzwiach, podparł się obiema rękoma i sapiąc, w ciemną aleję spoglądał, którą zbliżali się do niego ojciec z synem.

— Jakże tam idzie? — zagadnął Iwan Matwijowicz, ażeby inną rozmowę rozpocząć.

— Deskonale... doskonale... daliśmy tylko co „batiuszce“ wielkiego szlema.

— O, to bohaterstwo!... — zawołał Pietia.

Sprawnik poznał się na ironii — odpłacił mu pięknem za nadobne.

— A wy, „mołodoj czełowiek“, chcielibyście ciągle o polityce i socyaliźmie rozmawiać — rzekł zjadliwie, wpatrując się w niego badawczo.

Pietia uczuł się zadraśniętym tą uwagą.

— Ciągle? Nie... — odpowiedział, starając się głosowi swemu nadać o ile można najspokojniejszy akcent.

W tej chwili dało się słyszeć głośne wołanie:

— Antonie Iwanowiczu! Antonie Iwanowiczu! Karty rozdane...

Sprawnik krzyknął tubalnym głosem:

— Idę zaraz!

Posapał jeszcze chwilkę, powachlował

dewszystkiem trochę sił nowych. Skuteczny i pożyteczny udział posłów chłopskich w sejmie pouczył że żywioł ludowy, nawet w Galicyi, zniesławionej milionową cyfrą analfabetów, posiada w sobie sporo materyału zdrowego, należycie uświadomionego, zdolnego do zabrania głosu w sprawach publicznych, krajowych, bezpośrednio lub pośrednio go obchodzących. Niestety ci, od których to głównie zależało, nie chcieli czy nie potrafili uznać z dobrą wiarą siły i pożytku, jaki ten materyał przedstawia. Nieszczesna w wysokim stopniu niepolityczna taktyka większości sejmowej wobec posłów ludowych, nie mogła w nich oczywiście żadną miarą wzbudzić zaufania do klik rządzących w kraju, a drogą naturalnej reakcyi przyczyniła się tylko do wzmocnienia słabego jeszcze w początkach ruchu ludowego i utrwaliła jego faktyczne podstawy. Dziś ruch ten przybrał już rozmiary naprawdę poważne i żywiołowe, a niedalekie wybory do rady państwa dzięki ludowemu ruchowi, staną się niewątpliwie punktem zwrotnym w dziejach galicyjskich i na zmianę systemu polityki krajowej w Wiedniu, głównie zaś na przeobrażenie organizacyi galicyjskiego Koła w parlamencie wpływ wywrą niemały. Nie jest to proroctwo z palca wyssane, lecz logiczny wniosek wysnuty z faktów rzeczywistych. Kilka z faktów na bliższą zasługuje uwagę.

Jak już wspomniałem, agitacya stronnictwa ludowego przerzuciła się obecnie na wybory do rady państwa i do rad powiatowych, których mandaty kończą się w jesieni rb. Przeszło dwadzieścia wieców odbyło się już w dwóch ostatnich miesiącach pomimo systematycznych przeszkód ze strony władz w najrozmaitszych miejscowościach Galicyi zachodniej. Po każdym z nich potęguje się wśród ludu zapał do ruchu, liczba zwolenników jego rośnie. Włościanie z niezwykłem zainteresowaniem słuchają wywodów, objaśniających im polityczno-społeczny stan kraju, prawa i obowiązki obywatelskie, samolubstwo i koteryjność sfer, które dotąd wyłącznie rościły sobie prawo do reprezentowania społeczeństwa na zewnątrz. Rzecz naturalna, że działalność Koła galicyjskiego w parlamencie niezbyt pochlebnie omawiana bywa na wiecach. Szukanie nie przedstawia w tej mierze wielkich trudności. Koło dostarcza ich samo, zarówno z niedawnej przeszłości, jak z czasów bieżących. Nieufność ludu do przedstawicieli jego w radzie państwa pogłębiać się musi, choćby jej żadna sztuczna agitacya nie rozdmuchiwała. Większość Koła przez lud polski wybrana, podobnie jak większość posłów w sejmie, działa wyraźnie na szkodę ludu, wbrew jego woli i interesom. Zachowanie się tych „reprezentantów ludowych“ podczas całej dyskusyi nad badeniowskim projektem reformy wyborczej, szczególnie zaś jaskrawo reakcyjne stanowisko, jakie Koło zajęło w sprawie zaprowadzenia bezpośrednich wyborów w kuryi powszechnej i w gminach wiejskich, jest typowym, wcale nieodosobnionym przykładem taktyki Koła w sprawach dla kraju najżywotniejszych. Wiece ludowe podkopują starannie powagę tej „reprezentacyi“ a uświadamiając lud, wskazują mu zarazem, jakich reprezentantów do sejmu czy parlamentu wybierać na przyszłość nie powinien. Nietylko jednak faktyczna powaga Koła w dzisiejszym jego składzie chwiać się zaczyna potężnie, również zasada dzisiejszej solidarności klubowej powoli już traci podstawę.“

— *ski.*



Ostatni sezon teatralny
w Niemczech.

Feliks Philippi: „Droga cierniowa“. — Robert Misch: „Sława pośmiertna“. — Ludwik Fulda: „Wyspa Robinsona“. — Paweł Lindau: „Wenus z Milo“. — Adolf Wilbrandt: „Mistrz z Palmiry“. — Artur Schnitzler: „Miłostka“. — Teodor Wolff: „Nikt tego nie wie“.

Cóż przyniosł dotychczas sezon teatralny w Niemczech? Samemi tytułami nowości możnaby pół artykułu zapełnić: na brak twórczości nikt się chyba nie poskarży. Ale co to za twórczość! Mamy w Niemczech dotąd dwie kategorye pisarzy: jedna chce rozszerzyć szranki dramatu przez wprowadzenie typów robotniczych, wiejskich, malowanie drobnych szczegółów życia, przed podkreślanie silniejsze tła, środowiska, pogłębianie psychologii postaci każdej; druga pracuje nad techniką dramatu, szuka efektów słowa i wiązania się wypadków, sili się na dowcip, na błyszczący frazes, na jaskrawe zakończenie aktów, a zwłaszcza aktu ostatniego. Jedni za wiele chcą od dramatu, drudzy za mało. Nazwa „naturaliści“ i „epigonowie romantyki“ nie wyczerpuje rzeczy. Między naturalistami są bowiem autorzy z niezwykłą siłą słowa, z niepospolitym darem obserwacyi. Natomiast lepiej scharakteryzowałby dramaturgów dzisiejszych podział na autorów, piszących wyłącznie dla sceny, dla aktorów i reżyseryi, i na autorów, piszących dla czytelnika więcej, niż dla widza.

Stara to w Niemczech słabość: rozłamywanie form dramatu przedmiotami niescenicznemi i opracowaniem ich już to nowelistycznem, już to tendencyjnem. Ani Lessing w przeszłym wieku, ani w bieżącym w czasach nowszych Laube, Freytag, Lindau nie zdołali stałej formy dramatycznej narzucić współczesnym i następcom. Bez śladu ich działalność — bardzo zresztą różna w swej wartości nie przeszła, ale trudno jej było, zdaje się, zwalczyć pewną senność i leżącą w naturze niemieckiej, skłonność do refleksyi, dla której miejsca nie ma i nie będzie na scenie.

Tendencya — oto hasło bojowe. Jaskrawo odznacza się nią każdy utwór, który zdobył rozgłos jakiś (mniej czy więcej uprawniony) w ostatnich czasach. Feliks Filippi w swojej „Drodze ciernistej“ przedstawia matkę, co chroniąc syna złodzieja przed karą, patrzy bezczynnie, jak niewinnego sąd potępia. Filippi jest niby naturalistą, tak sądzi przynajmniej o nim obóz młody w Berlinie. Ale w istocie rzeczy stary Gaboriau nie powstydziłby się podobnego powikłania rzeczy. Tylko Ibsenowska teza: zdobywaj prawdę za każdą cenę, wyglądająca z tendencyi kryminalistycznego dramatu, czyni utwór „nowoczesnym“.

Szczęśliwi autorowie, którzy obok tendencyi zdobędą się na pomysł nowy, choćby ten pomysł nowym był tylko w oczach publiczności, bo niewyzyskanym jeszcze na scenie. Taką nowością była komedya Roberta Mischa „Sława pośmiertna“. Kompozytor, prześladowany przez krytyków, kłuty szpilkami po pismach różnych, nie mogąc zdobyć

---

twarz klapami od surduta i nie powiedziawszy ani słowa, do pokoju wrócił.

Ojciec z synem nawrócili znowu w głębie ciemnej alei i znikli. Słuchać było tylko głuchy szelest ich kroków.

Uszczypliwy ton sprawnika mocno dotknął Pietię. Szedł zamyślony, nie mówiąc ani słówka, aż wreszcie odezwał się namiętnie:

— Cierpieć nie mogę tej psiarni carskiej!

Iwan Matwijowicz zrobił marsowatą minę.

— Proszę cię — rzekł — tylko ty w żadną politykę i żaden socyalizm nie wdawaj się.

— Dla czego?

— Nie czas... Nie opatrzysz się, jak wpadniesz w paszczę tej psiarni. .

— Ach, ojcze — tysiące naszych wpada... jedni marnują się po Syberyach i Sachalinach, a drudzy spokojnie żrą chleb, przeznaczony dla dojeżdżaczy carskich.

Zuchwała ta mowa syna przestraszyła Iwana Matwijowicza. Nie odpowiedział na nią, ale idąc w milczeniu, rozmyślał:

— Nie uchroni się... duch czasu swoje weźmie.

Pietia, zdawało się, zrozumiał i odgadnął myśli ojca.

— Już dotąd mamy niewoli i ucisku — rzekł namiętnie, przesuwając ręką po gardle — każde pragnienie sprawiedliwe i szlachetne, każdą myśl szlachetniejszą zaduszą w człowieku, zanim się w jakiś czyn przyoblecze. To straszne... Ludzkość idzie naprzód, do światła, a u nas policya i cenzura gaszą starannie każdy promyczek, na każdy błędny ognik nawet rzucają się z kapturem.

Iwan Matwijowicz milczał.

Pietia rozgoryczony mówił dalej:

— Na całym świecie sądy publiczne wymierzają ludziom sprawiedliwość, — u nas każdy urzędnik powiada: sprawiedliwość — to ja... a car najmiłościwszy pokazuje ją swoim poddanym w formie zaciśniętej pięści...

Wybuchy oburzenia, rwące się z młodej piersi, przejmowały trwogą ojca, ale oponować im nie mógł — albo się tak nie działo? On, wychowany w tej kuźni, gdzie się wszystkie narzędzia niewoli kują, znał ją najlepiej, sam pracował w niej długo, ażeby w końcu poznać i pogardzić, — aż nareszcie uczuł, że się w jego duszy budzi powoli reakcya przeciwko panowaniu brutalnej potęgi, gruchocącej wszystko dokoła siebie.

Teraz przez usta syna odzywała się inna nuta — nienawiść dla tej siły, która niedawno czczoną była jeszcze więcej niż bóstwo; a czuł, że ulega powoli wpływowi syna, porwany gorącym protestem niesplamionej jeszcze duszy młodzieńca.

Gdy się goście rozjechali, ojciec i syn noc całą aż do dnia prawie spędzili na rozmowie o duchu i kierunku, panującym w Rosyi, które, acz gnębione i prześladowane, rozsadzają stopniowo stary gmach jednako strasznego dla wszystkich więzienia, zwanego cesarstwem rosyjskiem. Dom bez okien można zbudować, ale w nim mieszkać nie można. Można czas jakiś żyć bez słońca ale całe życie nie można.

Nazajutrz przy rannej herbacie Pietia odezwał się:

— Przywiozłem śliczną książkę.

Potem wprost do ojca się zwrócił:

— Przepiękna rzecz... „Dziady“ polska książka.

Ojciec podniósł na niego oczy i spojrzenie pytające na twarzy syna utkwił. Tytuł tej książki zatrzymał się w jego pamięci i wiązał się z wspomnieniami lat dziecinnych. Nie zdradzał się jednak z myślami i uczuciami.

— Co nas polskie książki obchodzą? — odezwał się batiuszka z akcentem niezadowolenia — ot, duraczestwo.

Pietia zamilkł. Zmiarkował rychło, że skala umysłowa batiuszki niewiele wyżej po za „stukałkę“ i „jeryłasza“ sięgała.

Iwan Matwijowicz umyślnie naprowadził rozmowę na inny temat i w ten sposób wrażenie wystąpienia Pieti zatarło się.

Gdy po śniadaniu ojciec z synem znaleźli się w ogrodzie, Iwan Matwijowicz sam do przerwanego tematu wrócił.

— Cóż to za książka? — zapytał — o której wspomniałeś przy herbacie. Pietia opowiedział szczegółowo treść.

— A zkądże po polsku nauczyłeś się?

— To cała historya, ojcze. Mam kolegę Janowicza... Polak...

— Janowicz? Co to za Janowicz? Zkąd? Czy nie z Wilna?

chleba dla matki biednej i żony, ucieka do Ameryki, a tymczasem rozpuszcza wieść, że się z rozpaczy zabił. Pogłoska o samobójstwie czyni go od razu sławnym. Wysławiają jego utwory w operze i sali koncertowej, ogłaszają najdrobniejsze prace z jego „spuścizny“, a po ulicach katarynki grają jego melodye.

Dobre by to wszystko było, ale lat temu 15 wyczytałem tę samą pocieszną historyjkę w pewnej humoresce Ecksteina „Poeta i lekarz“, i dziwi mnie bardzo, że dotychczas nie zwrócono jeszcze uwagi na niebezpieczne pokrewieństwo tych dwóch utworów.

Ludwik Fulda, najwytrawniejszy co do stylu i formy dramaturg nowszej generacyi, gdzieindziej znowu czerpie swoje „nowe idee“. Jakiś Comerzienrath, właściciel niezliczonych milionów i ojciec pięknej córki przybranej, Lidyi, urządza na okręcie „Utopia“ podróż na około świata i gdy statek rozbija się na morzu, z całą załogą i towarzystwem okrętowem żyć musi na odludnej podzwrotnikowej wyspie. Pokazuje się tu całe niedołęstwo bogacza, cała czczość księcia biednego, co z nim podróż odbywał, zalecając się do Lidyi, aby małżeństwem z panną posażną ozłocić swój herb wyszarzany. Zbawcą w niedoli, kierownikiem, duchem organizatorskim całej kolonii rozbitków jest robotnik Palm, wzgardzony dotychczas wielbiciel Lidji. W końcu niemiecki statek wojenny przybija do brzegów i zabiera rozbitków. Palm mianowany zostaje gubernatorem wyspy, a Lidji nikt mu już nie zechce odmówić.

Fulda w swoim utworze ostatnim nie popisuje się przynajmniej wycieczkami przeciw naturalistom, jak to dawniej nieraz czynił. Tej niewdzięcznej roboty na dziś podjął się Paweł Lindau w „Wenerze z Milo“, jednoaktówce, w której zestawił dwóch rzeźbiarzy: Agathona, odtwarzającego to, co widzi i Skopasa, tworzącego co czuje. Agathon nie tworzy jednak wcale, lecz okrada genialnego swojego niewolnika, Praksytelesa, któremu daruje wolność za cenę jego arcydzieła: „Wenery z Milo“. Agathon będzie uchodził za twórcę posągu, który wyrzeźbił Praksyteles, natchniony miłością do pięknej niewolnicy. Takiemi mają być ci nic dobrego naturaliści. Szkoda, że jak cała treść jednoaktówki zmyśloną jest mimo historycznych nazwisk, tak i tendencya jej na bardzo kruchych opiera się podstawach. Bo i cóż za szkodę odniósłby naturalizm, gdyby w rzeczy samej nawet jakiś jego zwolennik był lichym człowiekiem i lichym artystą?

Innym zupełnie utworem, zaglądającym także w starożytny świat jest „Mistrz z Palmiry“ Adolfa Wilbrandta, teraz dopiero wystawiony w niemieckim teatrze berlińskim, choć w Wiedniu znany jest już od lat dwóch, jako najgłębsze dzieło tego poety i jedno z najgłębszych w nowszej literaturze wogóle. Dramat ten zabłąkał się do sezonu obecnego w teatrze, jako gość z innej strefy. Jest to poemat w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Piękno formy, stylu, rytmu, zaokrąglenie aforystyczne zdań i myśli wybitniejszych — wszystko zdradza autora, rozkoszującego się w dźwiękach, w harmonii wiersza, w postaciach rzeźbionych, w wypadkach fabuły, najstaranniej obmyślanych. Porównywano obecnie dzieło to z „Kainem“, „Manfredem“ i „Faustem“. Zasługuje ono przeto na bliższą uwagę.

Przed bramą Palmiry jest jaskinia, w której przebywają: pan życia — starzec i pan śmierci — czarny duch Pauzaniasz. — Chorzy i starzy idą do tej jaskini prosić o zdrowie i życie. Pauzaniasz urąga im. Przychodzi też Apelles, wracający z wyprawy zwycięzkiej. Orszaki zwycięzców witają go okrzykami: „Cześć ci Apellesie!“ Trąby grają radosne hejnały, ale Apelles wybiega myślą po za chwilę obecną, chciałby istnienie swoje przedłużyć, uwiecznić. Jest on architektem, wodzem, ustawodawcą, jest człowiekiem, czującym pełnię swoich sił, jak rzadko kto, i pragnie żyć wiecznie. Daremnie ostrzega go duch: „Życie bez ustanku może stać się żalem bez ustanku“. Apelles odchodzi — obdarzony życiem na wieczność.

Przed jaskinią na ławie usnęła była młoda kobieta. Przez sen powtarza ona niektóre słowa ducha, wie ona niejasno, że Apelles jest teraz „skazany na życie“ tak samo, jak ona jest ofiarą, radośnie idącą na śmierć. Ta bowiem młoda kobieta Zoe, jest chrześcianką z Damaszku; idzie do Palmiry wykładać wiarę nową i głosić prawdę, choćby śmierć miała ponieść męczeńską. Pragnieniu życia Apellesa przedstawia się wola ofiar, abnegacya. Duch każe jej iść, umierać, wracać w coraz nowych kształtach na ziemię i zawsze spotykać Apellesa.

A więc idzie Zoe do Palmiry i głosi ewangielię. Jej odwaga porywa Apellesa. Chciałby jej bronić przed tłumem wrogim, ale kiedy ona nietylko prorokuje zagładę Bogów, kiedy unosząc się przeciw sztuce przepowiada, że te świątynie wszystkie w gruzy padną, energia Apellesa słabnie na chwilę i ktoś z dzikiego motłochu wypuszcza strzałę; ugodzona nią męczennica umiera. Konając przypomina sobie Zoe sen przed jaskinią Palmiry i mówi do Apellesa: „ciebie, ciebie to widziałam we śnie. Bóg cię każe tem, czegoś żądał.... czuwać będziesz bez snu śmierci, ja umieram“.

W akcie drugim, w 20 lat później, widzimy Apellesa w towarzystwie wesołych „przyjaciół“: Aureljusza, który mu zazdrości sławy, Septimjusza, co mu zazdrości kochanki Feby, zabranej przez Apellesa z Rzymu, szczerego Longinusa, który na życie patrzy ze stoickim spokojem, Timolausa, błazna nieco pokrewnego Szekspirowskiemu, wypowiadającego wszystkim prawdy gorzkie przy uczcie. — Feba jest prześliczną postacią. Dziewczyna to wesoła, pragnąca uciech, zabaw szalonych, kochająca szczerze Apellesa, kobieta zdolna umrzeć i poświęcić się w ekstazie, a niezdolna być wierną: pół kurtyzany, pół anioła. Los karze Apellesa, pragnącego uciech, tą kobietą, która chce też tylko żyć i używać.

Słabość Feby nie wytrzymuje próby, Matka Apellesa choruje, a duch śmierci Pausaniasz, który jako lekarz odwiedza ją, powiada Apellesowi, że chora umrzeć musi, jeśli Feba nie ustąpi z domu, matka bowiem bardzo się martwi jego związkiem z tą dziewczyną. Zanim Apelles mógł się zdecydować, Feba dowiedziawszy się o tym stanie rzeczy, ucieka ze Septimjusem.

W trzecim akcie Apelles posiwiały jest ojcem pięknej Tryfeny i mężem Persidy, pobożnej chrześcianki. Persida, pod wpływem

---

— Z Wilna.

Iwan Matwijowicz zamilkł. Pietia ciągnął dalej:

— Zaprzyjaźniłem się z nim, jak z bratem... dobra, piękna dusza...

— Więc to on uczył ciebie po polsku?

— On. Gdyśmy się parę razy zetknęli ze sobą, on dawał wyraźnie do zrozumienia, że stosunków koleżeńskich utrzymywać ze mną nie chce. W liczniejszem kole zawsze się odemnie boczył. Raz wprost go zagadnąłem:

— Pan mnie nie lubisz? Prawda?

— Nie mógłbym tego powiedzieć, ale stosunek z panem sprawiałby mi przykrość.

— Dla czego?

— Pozwól mi to pan zatrzymać do mojej wiadomości. Wolno panu mnie nienawidzieć, chociażby całą duszą.

Skinął ledwie dostrzeżenie głową przedemną i odszedł.

Gdy te słowa wymówił Pietia, spojrzenie jego padło niechcący na bladą twarz Iwana Matwijowicza.

Co tobie, ojcze? — zapytał z przerażeniem.

— Nic... głowa mię trochę boli.

— Może usiądziemy?

— I owszem.

Usiedli w cienistej, lipowej altanie.

— No i jakże się wasza przyjaźń z Janowiczem nawiązała? — spytał.

— Bardzo dziwnie... Kiedyś w towarzystwie kolegów rozpoczęła się rozmowa o Podolu, w której i ja gorący bardzo udział wziąłem, jako ziemią rodzinną zachwycając się. Gdy skończyłem podszedł do mnie Janowicz.

— Pan nie jesteś z Wilna? — zapytał.

— Nie panie, urodziłem się na Podolu i w Wilnie nigdy nie byłem.

Wówczas Janowicz wyciągnął ku mnie rękę.

— Od dawna zwróciłem uwagę na pana — rzekł — i pragnąłem do niego zbliżyć się serdecznie... wielką czuję dla pana sympatyę.

Wyciągnął ku mnie rękę.

— Chcesz pan — dodał — bądźmy przyjaciołmi.

— Bądźmy. I zostaliśmy przyjaciołmi.

Iwan Matwijowicz zamyślił się nad tym dziwnym sposobem zawierania przyjaźni i o owym Janowiczu. Kolegi syna nie znał, ale znał jego ojca, bardzo dawno, bardzo, bo z lat dziecięcych. I oni byli niegdyś przyjaciołmi, rozstali się potem i poszli różnemi drogami.

Pietia ciągnął dalej:

— Od niego nauczyłem się po polsku; kocha kraj swój i nienawidzi Moskali do fanatyzmu... Ale, wiesz, co on mi raz powiedział? Powiedział, że jestem także Polakiem, że gałęź dębu, oderwana od pnia macierzystego, nie przestaje być dębem...

(Dokończenie nastąpi).



TAKŻE EWANGIELISTKA.

Sylwetka petersburska.

(Dokończenie.)

— W głębi tego nowożytnego pałacu zobaczy pani pierwszych chrześcian, braci naszej gminy pra-chrześciańskiej i wybieranych przez nas presbiterów, w białych szatach płóciennych, takich, jakie owi święci w mroku katakumb nosili; usłyszy pani, jak przez ich czyste usta sam Duch święty oczywiście przemawia i prorokuje. Tak, nie mówię wcale, że schodzi na nich tylko natchnienie z góry, lecz powtarzam znowu, że sam Duch święty, Bóg odrodzenia, daje się słyszeć w naszem zgromadzeniu.

Czułam wyraźnie, jak oczy moje utkwione w N—ową, otwierają się coraz szerzej. Musiała i ona to zauważyć, pomimo całego podniecenia, które ją opanowało, bo, podniósłszy głos i zbliżywszy twarz swą ku mnie, poczęła szybko mówić:

— Tak, przygotuj się pani, bo usłyszysz rzeczy nadzwyczajne, zapomnisz o tej katowni, która się światem nazywa i wejdziesz do błogosławionej przystani pocieszenia. O błogosławiona! kończyła szeptem prawie, z błyszczącemi oczyma, utkwionemi w górę i przyspies..ła kroku, nie zwracając już na mnie uwagi.

brata swojego biskupa Herennajosa, nie chce zezwolić na ślub córki Tryfeny z Jamlichem, synem Longinusa, który jest jeszcze poganinem. Przychodzi do starcia między Apellesem a Persidą. Persida, postawiona między obowiązkiem, podyktowanym przez dogmat wiary, a miłością, nie chce iść za Apellesem i umiera z bólu. Apelles ucieka z córką, Longinusem i Jamlichem przed ludem Palmireńskim, który już po większej części jest chrześciańskim, nad Eufrat. Ztamtąd wraca po wielu latach w pobliże Palmiry z Nymfasem, wnukiem swoim a synem Tryfeny.

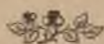
W czwartym akcie występuje Nymfas. Jest to potomek Zoi, Feby, Persidy, mający w swojej duchowej fizyognomii wszystkie ślady dawnych żywotów. Na tronie rzymskim zasiadł Julian Apostata, chcący wskrzesić wiarę w starych bogów. Resztki pogańskiego świata zbierają się do walki z chrześciaństwem; oto walczyć ma idea uciechy z ideą abnegacyi, ale ci obrońcy swobody życia stają się romantykami. Chcąc odkopać przeszłość, idą do zapadłych świątyń. Nymfas zagrzewa się myślą brania udziału w tej walce z chrześcianami i, mimo uporu Apellesa, idzie do Palmiry. Apelles z wiekiem poznaje marność życia; liść za liściem opada z jego drzewa: stoi sam bez przyjaciół, bez krewnych; jedyną nadzieją Nymfas.

A Nymfas upada w walce, która na wieść o śmierci Juljana Apostaty kończy się zupełną porażką pogan. Teraz życie Apellesa jest męką. Po wielu latach spotyka w Palmirze towarzyszy Nimfasa z otatniej walki: „chylą się i korzą i korzystają z każdej chwili życia“, a Nymfas — umarł. Apelles chciałby zapomnieć; nie może — chciałby umrzeć — nie może. W tem spotyka pobożną chrześciankę, Zenobię, drugie wydanie Zoi. Zenobia słynie ze swojej wiary i cudów. Kiedy go dostrzega, budzi się w niej jakby reminiscencya uczuć, przed tym żywotem doznanych, lituje się niezmiernie nad Apellesem, kładzie mu rękę na czoło, aby jego ból ukoić.

Poemat powtarza postać Zoi, Zenobii, Persidy i właściwie w dwóch aktach wyczerpał pomysł i postacie. Poplątanie także teoryi o metempsychozie i kwestyi wiecznego życia indywidualnego nie może wpłynąć na harmonijne rozwiązanie zadania. W każdym jednak razie są w poemacie ustępy niezwykłej piękności, a całość osnowy odbija bardzo jaskrawo od wybladłych utworów współczesnych.

Sezon ubiegły przyniósł nam jednak jeśli nie dzieło znakomite, to choć talent wielkie nadzieje rokujący. Mówię o poecie wiedeńskim Arturze Schnitzlerze, którego „Miłostkę“ wystawił teatr nadworny. Schnitzler należy do tej grupy wiedeńskich poetów, która przed czterema laty założyła była towarzystwo „Freie Bühne“ i marzyła o zreformowaniu teatru Wiedeńskiego i powieści, dość licho przedstawiającej się w literaturze austryacko-niemieckiej. Jednych ideałem Baudelaire, Verlaine, Maeterlinck, drugich Ibsen, Zola, Tołstoj. Kilku członków tego związku „freie Bühne“ dziś zajmuje już to w publicystyce, jużto w liryce i dramacie poważne stanowisko (Bahr, Dawid, Hofmansthal, Dormann, a wreszcie Schnitzler). Schnitzlera pierwszy dramat, w zeszłym sezonie wystawiony („Baśń“) nie uwydatniał jeszcze talentu pisarza. Znać było odwagę młodego człowieka, podejmującego na nowo kwestyę starą upadłej kobiety — ale też nie wiele więcej, prócz odwagi, która dziś z realizmem, weryzmem, naturalizmem za jedno uchodzi. W „Miłostce“ uderza niezwykła siła charakterystyki osób, plastyczność w oddaniu domostwa kawalerskiego i pomieszkania biednego muzyka, nastrój szczery i na prawdziwie liryczne zdobywający się tony. Treść stara, fabuła niewyszukana; cały dramat ma właściwie tylko trzy sceny w trzech aktach, a zawikłania żadnego. Schnitzler jednak może potrafi zdobyć się na treść szerszą. Główne warunki pisarza dramatycznego: prostotę formy, siłę przedstawienia walk duszy, zdolność malowania tła kilku rysami — posiada on już dzisiaj.

Bez wiarołomstwa niema dziś repertuaru. Z całego szeregu dramatów, których jedyną osią jest niewierność małżeńska, wymienię dwa tylko: jeden Teodora Wolffa „Nikt tego nie wie“, zasługujący na wzmiankę dzięki egzotyczności tła (choć się w teatrze królewskim w Berlinie nie utrzymał) i „Szczęście w zakątku“ Sudermanna, dramat, tem narzucający się naszej uwadze, że wyszedł z pod pióra najgłośniej reklamowanego i od pierwszej chwili nad zasługę i talent wychwalanego dramaturga. Teodor Wolff swoją tragedyę niewiary przeniósł do Japonii. Można tu kostyumy nowe pokazać i dekoracye, które na widza, znudzonego europejskiemi salonami, działają jak istotna nowość. Malarz Yori kocha się w pięknej Tajo. Młoda Japonka odwzajemnia mu się, ale za niego wyjść nie chce, bo nastręcza jej się związek z bogatym, starym i dobrym księciem. Nudzi ją zamek pozłocisty, nudzą pyszne parki, tęskni za Yorim. I zjawia się on jednej nocy księżycowej i ukochaną, stęskniony więce niż zwykle, bierze w swoje ramiona. Książę podszedł ich i rzuca się z mieczem na uwodziciela; Yori wymyka się i uprzedzając zamiar księcia, przebija go, potem w milczeniu daje się uwięzić, ani słowem nie zdradzając pobudek swego czynu. Dlaczego zabił księcia? „Nikt tego nie wie“, chyba on sam, Tajo i autor. Nikt też nie wie, dlaczego Tajo wyszła za księcia. Zdaje się, że ta młoda Japonka jest uczennicą Schopenhauera i Nietzschego i nie wierzy w stałość uczucia, a wierzy tylko w stałość władzy, potęgi, bogactw, siły indywidualnej. Szkoda, że się nie wytłumaczyła bliżej ze swego wyznania wiary. Byłaby może wyrosła na tym gruncie tragikomedya wartości istotnej, a nie cacko japońskie dla dyletantów, zbierających egzotyczne wachlarze. *K. T.*



Listy Stanisława Moniuszki.

W oktawę imienin niezapomnianego twórcy „Halki“ przynosimy czytelnikom naszym wiązankę listów tego serdecznego lirnika.

Listy ludzi niepospolitych, te szczere i poufne zwierzenia wobec rodziny lub przy-

---

Szłam za nią, poruszona jej tonem i zaciekawiona tem, co mię czekało.

Minąwszy ponury dziedziniec ciemnostalowego pałacu, wstąpiliśmy do masywnego portalu środkowego, przeszłyśmy wielką, ozdobną sień i znalazłyśmy się w jakimś śnieżnej białości przybytku, oczywiście kościele. Lśniąco biały, długi lecz wązki ołtarz służył za podstawę ogromnemu, stosunkowo, krzyżowi, nad którym się unosił wielki ptak Ducha świętego. Lekkie kratki, zdobne delikatnem złoceniem, oddzielały prezbiteryum od wydłużonej przestrzeni, pozostawionej dla wiernych, a dość szczelnie zastawionej czystemi, białemi ławkami.

Tu i owdzie siedzą pobożni, mniej mężczyzn, więcej kobiet, nad rozłożonemi na pulpitach książkami, ostro odbijając swemi ciemnemi figurami od tej ogólnej białości.

Na ścianach brak obrazów, lecz za to pełno jakichś godeł i emblematów.

Spostrzegam drzewa alegoryczne, oślą głowę i rybę, i domyślam się, że są one wzorowane na godłach starej chrześciańskiej Romy.

Siadam w jednej z ostatnich ławek. N—owa, zwyczajem katolickim klęka.

Czyjaś mała, szczupła rączka w świeżutkiej czarnej rękawiczce, podaje mi z tyłu dwie książki. Odwracam się, żeby podziękować, a młoda pani z twarzą zakrytą gęstym, żałobnym welonem, zlekka kiwa mi głową.

Otwieram książki: — jedna jest zbiorem hymnów angielskich, druga zaś zwykłym ewangielickim *Gesangbuch'em.*

Tymczasem liczba „pierwszych chrześcian“, z rozmaitych dzielnic Petersburga, coraz to się powiększa; jest tu już ich teraz około stu osób. Gwar się wzmaga, rozróżniam wyraźnie rosyjskie i niemieckie frazesy, uśmiechy i ukłony krzyżują się co chwila, toalety nietylko dostatnie, lecz nawet eleganckie, atmosfera angielskich perfum otacza mię dokoła. Lecz oto poczyna się ona mieszać z odurzającą wonią mirry wschodniej; boczne drzwi się otwierają i, otoczony niebieskim obłokiem lecącym z kadzielnicy, wchodzi celebrant w długiej, śnieżnej albie, w asystencyi dwóch białych djakonów. — Wszystkie głowy chylą się kornie ku ziemi. Co do mnie, przypatruję się ze zdumieniem wspaniale rozczesanym faworytom szpakowatego celebranta i jego modnemu rozdziałowi na samym środku głowy. Elegancki monokl w złotej oprawie kołysze się na piersi, tuż obok czerwienieje jakaś wstążeczka.

— Kto jest ten — pan? — pytam nieśmiało N—owej, wciąż jeszcze klęczącej obok mojej ławki i wpatrzonej w niego w tej chwili.

— To nasz biskup, rzeczywisty radzca stanu A—erg, odpowiada mi z namaszczeniem. Tytuł ten, koafiura, monokl i wstążeczka wprawiają mnie w tak niespodziany humor, że boję się już spojrzeć na ich szczęśliwego posiadacza. Przypomina mi się natomiast rozmowa dwóch amatorów baletu, w którejś z satyr Szczedrin'a:

— „Patrz pan, któż to tam wywinął to zdumiewające antrsza (*entrechat*)?“

— „To rzeczywisty radca stanu *Petipas*“. — A więc i tu bez „radcy“ poradzić sobie nie mogli.

Tymczasem odprawia on z wielką powagą nabożeństwo, podobne do mszy katolickiej, przerywane często chóralnym śpiewem „braci i sióstr“ gminy. Epilogiem jej było coś w rodzaju komunii powszechnej, przykre na mnie robiące wrażenie, to też po ukończeniu jej, z wielką radością podniosłam się z miejsca, ciesząc się, że moja rola widza jest już wreszcie skończona. Lecz oto N—owa, na którą mało przez ten czas zwracałam uwagi, wstrzymała mię gwałtownym ruchem, szepcząc z tajemniczym wyrazem, że za chwilę właśnie zaczną się proroctwa i głosy Ducha świętego.

Ciekawość przemogła i zostałam w ławce, oczekując z niecierpliwością pierwszych objawów natchnienia. Tymczasem rozglądałam się po sali, chcąc pochwycić nastrój psychiczny publiczności. Rzecz dziwna, jaki spokój, wobec tego *moment supreme*, który miał dla nich nastąpić. Czytają sobie z mniej więcej obojętnym wyrazem swoje zagraniczne książki i od czasu do czasu rozmawiają dość głośno po rosyjsku.

W tem stojąca obok mnie N—owa upadła nagle na kolana, złożyła ręce z dziwnie skupionym, modlitewnym wyrazem, a wyciągnąwszy naprzód głowę, jakby w natężonem

jaciół, są dokumentami niezmiernej wagi. Stanowią one bowiem nader cenny materyał biograficzny, a służą nietylko dla pełniejszego uwydatnienia charakterystyki danej postaci, lecz wzbogacają niezmiernie historyę literatury lub sztuki. Dość wspomnieć o zbiorze listów Juliusza Słowackiego do matki, o czterotomowej korespondencyi Adama Mickiewicza lub Zygmunta Krasińskiego do różnych osób. Listy te przechowane i wydane stanowią do dziś dnia dla historyków literatury skarbnicę nieprzebraną faktów, ściśle związanych z życiem i twórczością wielkich poetów.

Obok tej korespondencyi, zebrania, uporządkowania dokładnego i ogłoszenia domagają się usilnie listy takich mistrzów pieśni swojskiej i natchnienia wielkiego jak: Chopin i Moniuszko. Należą oni bowiem do tejże samej konstelacyi gwiazd błyszczących tak wspaniale na horyzoncie naszej poezyi i sztuki, że niejedno społeczeństwo tego blasku pozazdrościćby mogło.

W r. z. ogłoszono kilkanaście listów Moniuszki ze zbiorów sekcyi imienia Moniuszki, powstałe, z inicyatywy p. Jana Karłowicza przy Towarzystwie Muzycznem w Warszawie. Listów takich zapewne więcej znajdować się musi. Zbiór ich też cały posiadał zmarły przed laty kilku Aleksander Walicki, biograf Moniuszki, a pokaźną zapewne ich ilość przechowuje rodzina i przyjaciele wielkiego artysty.

Dzięki uprzejmości p. Bolesława Matuszyńskiego, syna zmarłego w d. 10 grudnia 1893 r. Leopolda Matuszyńskiego, wieloletniego reżysera opery warszawskiej, możemy ogłosić szereg listów Moniuszki w różnych latach, jeszcze z Wilna a następnie z zagranicy pisanych. Moniuszko bowiem przed objęciem batuty dyrektorskiej w operze warszawskiej, wyjechał w 1858 r. na kilka miesięcy do Paryża, dokąd udał się znowu po upływie lat kilku.

Z Leopoldem Matuszyńskim łączyły go związki ścisłej przyjaźni i Moniuszko w swej karyerze kompozytorskiej korzystał niejednokrotnie z rad i uwag tego wytrawnego artysty i doświadczonego znawcy sceny. Wiadomo np., że gdy Moniuszko przywiózł do Warszawy „Halkę“, jako operę w dwóch aktach, z partyą Jontka dla barytona, Matuszyński wpłynął na rozszerzenie jej na cztery akty i przerobienie partyi barytonowej na tenorową.

Oto treść dosłowna tych listów:

Drogi przyjacielu!

Na miłość Bozką, kilka słów jakichkolwiek, złych czy dobrych! Nie mogę Ci wyrazić, jak niepewność zgubnie wpływa na moje nawet pieniężne interesa tegorocznego kursu. Do podróży ku Wam jestem oddawna przygotowany, więc to mi wielkiej różnicy nie zrobi! Ale najgorzej, że wiedzieć nie mogę, kiedy ona nastąpi? Jużci zapewne i sami nie więcej musicie wiedzieć odemnie. Ale chciejcie mi donieść, czy nie zaszło co takiego, coby miało wstrzymać przedstawienie na czas dłuższy? Daruj, daruj najpoczciwszy Leopoldzie, że cię utrudzam, ale to wina Twej dobrej dla mnie woli, w którą najzupełniej wierzę.

Wasz najżyczliwszy i najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

1857 r. m. październik 28 d. Wilno.

* * *

Dziękuję Ci, zacny Leopoldzie, za Twój list drugi. Bieda moja, że do Was nie będę mógł pospieszyć aż za dziesięć dni od dzisiejszej daty. Najpóźniej wszakże będę Cię mógł uściskać 20 listopada wedle Waszego kalendarza.

Będę wszelkich sił używał, ażeby wcześniej ztąd się uwolnić. Wielką mi więc łaskę uczynicie, nie zwlekając prób orkiestrowych, przeciągając je w taki sposób, ażeby się nie wydawało, że to z mojej winy ta przewłoka.

Do Jasińskiego dziś piszę, może i do Quatriniego, jeżeli mi czas pozwoli.

Do widzenia, mój najpoczciwszy przyjacielu.

Twój najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

1857 m. października 21 (listopada 1) Wilno.

* * *

Mój drogi Leopoldzie!

Za powrotem w domu zastałem smutek! Utraciliśmy nagle jedenastoletnią córeczkę; moja żona taiła jej zgon przedemną. To też na pierwszym kroku cios ten wę mnie ugodził. Piszcie do mnie co prędzej i co najczęściej. Oby Wasza, tyle droga dla mnie życzliwość, nie rozwiała się jako sen różowy, tak nieczęsto przyświecający w mojem życiu. Mam „Gazetę Warszawską“ i będę miał jeszcze „Kuryerka“. Pomimo to odzywajcie się do mnie, robiąc z tego obowiązek dla siebie podtrzymywania mnie w upadku ducha.

Wszystkim najzacniejszym Twoim kolegom polecaj mnie życzliwej pamięci jako najwdzięczniejszego Waszego
S. Moniuszko.

Żonce Twojej rączki załuję.

1858 styczeń 6 (18) Wilno.

* * *

Mój drogi Leopoldzie!

Coby to było, że od Ciebie ani literki nie otrzymuję! Smolikowski w swoim ostatnim liście pocieszył mnie bardzo wiadomością, że się do Wilna pisać wybierasz, ale na tem się skończyło. A ja tak do Was tęsknię, jak nigdy. Straszne tu moje życie. Uratujecie człowieka od zguby, jeżeli zechcecie jakkolwiek ułatwić zbliżenie się moje do Waszej sceny. Ale gdzie tam myśleć o tem! Dowiaduję się z kilku listów, że Opera włoska do marca tylko ma pozostać. Więc i przestrogi kochanego Sikorskiego zatrważać was nie powinny!

Cóż dzieje się z „Ruchem“[1]); od nowego roku ani jednego numeru nie otrzymałem.

Ty, mój drogi Leopoldzie, pociesz mnie choćby słówkiem. Po Twojem sercu mam prawo spodziewania się, że na Twoją odezwę nie dasz mi długo czekać.

Twój najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

[1]) „Ruch muzyczny“ począł wychodzić w 1857 r. pod redakcyą zmarłego w d. 4 maja rb. Józefa Sikorskiego.

---

wyczekiwaniu, wpatrzyła się przed siebie.

Spojrzałam w tym samym kierunku i zauważyłam, że pochylone plecy białego dyakona, stojącego z lewej strony ołtarza, dziwnie jakoś falują, głowa jego to się wznosi to opada, wreszcie raptownie obraca on się ku nam, a drżąc całem ciałem, wymawia oderwane jakieś, niewyraźne słowa.

Nic nie rozumiem, — po chwili jednak głos staje się pewniejszy, artykulacya jaśniejszą — a ucho chwyta wreszcie słowa:

— I powiedział Pan ślepemu Oceanowi: „stój!“ I Ocean poznał granice swoje i wstrzymał fale swoje. Ale odrodzony duch ludzki, nie ślepy, lecz widzący, rozlewa coraz szerzej strumienie światła swego po wszechświecie, a choć strumienie te krwią nieraz się barwią, choć noce czarne stają im na drodze, to jednak ogień Ducha znowu je oczyszcza, języki płomieniste spływają na wybranych, dawne winy się kruszą, a nowy dzień żywota się zaczyna. Języki płomieniste stanęły nad głową Irwinga i jego towarzyszy, po obu stronach ślepego oceanu i zaczęła się jutrznia nowa i rozpierzchli się po świecie nowi apostołowie. A są to apostołowie trzeciej doby, apostołowie Ducha, na początku stworzenia unoszącego się nad wodami, Ducha ognia oświecającego, Ducha odrodzenia, Ducha pokoju i miłości narodów, Ducha udzielającego każdemu z osobna, według pragnień jego. Znowu bije cicho cudów godzina, głuszona gwarem giełd i szczękiem żelaza, lecz wyraźna dla naszej gminy apostolskiej, znowu wóz powietrzny starego zakonu zajechał przed jednego z ojców naszych i, jako ongi Eljasz prorok, i jako poprzednicy jego z pomiędzy apostołów naszych, nie zrzuciwszy powłoki ziemskiej, powrócił on do dawcy żywota, — Pana nad Pany. Powiadam to wam, abyście poznali widomą łaskę Bożą nad apostolską gminą naszą i rozradowali sprągnione serca wasze“...

Szmer jakiś był odpowiedzią na te słowa; bracia i siostry upadli na kolana. Co do N—owej, klęczała ona ciągle, przymknąwszy powieki; z pod których spływały obfite strumienie łez; podniosła je wreszcie, wpatrzona w proroka, uspakajającego się stopniowo, a w spojrzeniu jej było coś tak żebrzącego, upośledzonego i beznadziejnego, jak w spojrzeniu torturowanego psa.

Z trudnością oderwałam wzrok od niej, żeby nabrać pojęcia o usposobieniu innych zgromadzonych, — lecz się przekonałam, że moja sąsiadka była tu tylko wyjątkiem...

Tymczasem dały się słyszeć znowu monotonne dźwięki przed ołtarzem. Stał tam jegomość w ciemnym paltocie i złotych okularach, o niedokrwistej cerze, przeciętny petersburszczyk z wyglądu; i on też drżał całem ciałem i jego głowa także wykonywała miarowe ruchy.

Rozpoczął swe wieszczby od obrazu: stawiał przed oczy słuchaczów jakiś bezmiar łąk słonecznych, pełen barw, blasków i lazurów, falujący zlekka, pogodny i bezpieczny, na którym się pasą stada baranków białorunych, przypadających co chwila do stóp dobrego pasterza. Miał to być widocznie obraz przyszłej idealnej ludzkości; lecz w ślad zatem nastąpiła jaskrawa antyteza teraźniejszości, charakterystyka dzisiejszej moralności międzynarodowej, zaopatrzona nawet w cytaty z gazet politycznych rosyjskich i niemieckich. Frazesa pojedyncze rwały się co chwila, naprzemian, to wybuchając z ust „prorokującego“, to ledwie się przedzierając przez zgrzytające zęby. „Narzędzie Ducha świętego“ cytując nawet „Times'a“, czy „Figara“ drżało i kurczyło się przed ołtarzem, jakby na stole wiwisekcyjnym.

Nie mogąc znieść dłużej tego męczeńskiego widoku, przymknęłam oczy, a kiedy je otwarłam i machinalnie zatrzymałam na słuchaczach byłam kompletnie zdumiona ich powszedniemi minami i obojętnością, z jaką słuchali — nie już głosu Ducha świętego, jak powinni byli wierzyć oni, lecz wprost głosu udręczonego człowieka. Niektórzy spoglądali w górę ku okrągłemu zegarowi, umieszczonemu po prawej stronie ołtarza i o dziwo, gdy wybił pierwszą, sam prorok wydobył z kieszeni zegarek, uważnie rzucił nań okiem i w tej samej chwili gwałtownie wybuchające dźwięki stały się znacznie równiejszemi i cichszemi; po krótkiej chwili umilkł wreszcie ostatecznie i przecierając okulary, dążył na miejsce swoje w pierwszej stali.

Gniew i śmiech ogarniały mię teraz na przemiany — gniew na siebie przedewszystkiem, żem się tak niepotrzebnie za niego

Żonie chciej oświadczyć moje uszanowanie.

Troszela łaskawej pamięci i życzliwości mnie polecajcie.

Wilno, 1858, styczeń 24 (luty 6).

(Dokończenie nastąpi).



Kwestya rozwodów
w Stanach Zjednoczonych.

O kwestyi kobiecej w Stanach Zjednoczonych mówi się już od lat kilkudziesięciu. Pierwsze pionierki tej kwestyi, panie: Stanton, Antony i Shaw, są dziś zgrzybiałemi staruszkami. Dzięki ich niezmordowanemu uporowi, sprawa kobieca w Ameryce stała się nader głośną, a w ciągu ostatnich lat kilku — naglącą. Wynikiem tej agitacyi było jednakże nadspodziewane zmniejszenie liczby małżeństw i zwiększenie liczby rozwodów, skonstatowane urzędownie około 1880.

Od tego czasu rozpoczęto namiętną walkę przeciw rozwodom i feministkom; kongres waszyngtoński otrzymał coraz większą ilość petycyi anty-rozwodowych; potworzyły się nawet stowarzyszenia, które w styczniu r. 1885 zjednoczyły się pod ogólną nazwą „National Divorce Reform League“. Ruch ten wzmagał się tak szybko, iż już w 1884 roku przeciw rozwodom zaczęły protestować całe Stany, zwłaszcza wschodnie, które przesyłały do kongresu wnioski, podpisane przez gubernatorów, sędziów, profesorów uniwersytetu. Jednocześnie posypały się, jak zrogu obfitości, memoryały od rozmaitych zgromadzeń religijnych. Kongres zrazu zachowywał się dość powściągliwie; dopiero w marcu r. 1887 wotował prawo, nakazujące wydziałowi pracy (Department of Labor), czyli niezależnemu od innych urzędów biuru statystycznemu, zająć się zgromadzeniem materyałów w sprawie ślubów i rozwodów. Po upływie dwu lat wydział przedstawił kongresowi olbrzymie sprawozdanie za czas od roku 1867 do 1887, stanowiące wielki tom *in quarto*, o 1,074 stronach, pod ogólnym tytułem „Śluby i rozwody“.

Księga ta, wydana pod redakcyą p. Carroll D. Wright'a, naczelnika wydziału pracy, przedstawia niezwykle ciekawy teren do wszelkich wniosków w sprawie kobiecej. Pan C. Wright należy do najzdolniejszych i najbardziej bezstronnych statystyków amerykańskich; nie wdawał się on w żadne społeczne idee, lecz badał rzecz, jako uczony, rozsyłając swych agentów do wszystkich sądów, aby osobiście przejrzeli sprawy rozwodowe.

Stany Zjednoczone — jest to kraj prób. Nawet instytucya małżeństwa jest tam jedną wielką próbą, rozmaicie przez różne stany przeprowadzaną. Niepodobna sobie wyobrazić, jak dalece zróżnikowały się pod tym względem prawodawstwa poszczególnych Stanów. Nawet samo pojęcie małżeństwa tam nie jest wszędzie jednakowe. Cztery Stany uważają małżeństwo tylko za umowę cywilną; dwa Stany wymagają nadto zaświadczenia dobrowolnej zgody obu stron, zawierających małżeństwo; dwanaście Stanów żąda wykazania, że dane osoby mają prawo do zawarcia ślubu; trzy Stany uznają małżeństwo za zwykły stosunek, wynikający z poprzedniej umowy cywilnej; cztery Stany wprost nakazują, aby usuwano wszelkie przeszkody do zawarcia małżeństwa; prawie wszystkie Stany ułatwiają małżeństwo, znosząc ograniczenia formalne, albo odrazu uznając za legalne dzieci, zrodzone przed ślubem rodziców. Dawać ślub mogą w Stanach Zjednoczonych duchowni wszystkich sekt, oraz prawie wszyscy urzędnicy sądowi i administracyjni. Prawodawstwo Stanu New Hampshire orzeka poprostu, że sam fakt wspólnego pożycia wystarcza do uznania małżeństwa za ważne wobec prawa. W ten sposób legislatura Stanów Zjednoczonych prawie całkiem wyrzekła się swego wpływu na małżeństwo, zostawiając je na łasce tradycyi lub zwyczajów miejscowych.

Takaż sama wstrzemięźliwość panuje i w kwestyi udzielania rozwodów. Prawodawstwa Stanów uznają dwa rodzaje rozwodów: absolutny (*a vinculo matrimoni*) i ograniczony (*a mensa et thoro*). Rozwód następuje w trzech wypadkach: 1) w razie zasądzenia jednego z małżonków na więzienie dożywotnie, albo długoletniej nieobecności jego; 2) na mocy specyalnego aktu prawnego dla każdego oddzielnego rozwodu, i 3) na mocy wyroku sądowego. Najczęściej używają trzeciego sposobu. Jako przyczynę rozwodu podać można najrozmaitsze fakty, np. cudzołóstwo (we wszystkich Stanach), dręczenie (prócz sześciu Stanów), pijaństwo (prócz dziewięciu Stanów), niezdolność fizyczną (prócz jedenastu Stanów) itd. Stan Tenessy uznaje rozwód w tym wypadku, gdy mąż rozkaże żonie dom jego opuścić; Stan Wisconsin uznaje za dostateczne dobrowolne rozejście się małżonków. W niektórych Stanach sądy pozwalają żonom i dzieciom zmieniać nazwisko po uzyskaniu rozwodu.

Wobec tak ogromnej łatwości ślubu i rozwodu, pouczającą jest statystyka rozwodów w Stanach Zjednoczonych. Od r. 1867 do r. 1887 liczba rozwodów wzrosła z cyfry 9,937 do 25,535 na rok, a w całym tym okresie ogólna liczba rozwodów dosięgła cyfry 328,716. W stosunku do liczby małżeństw, liczba rozwodów przedstawia się nie jednakowo w różnych Stanach. W Delaware jeden rozwód przypada na 5,542 małżeństw, podczas gdy w Colorado przypada zaledwie na 136 małżeństw. Najciekawszem wszakże jest to, że podczas gdy w r. 1867 jeden rozwód w całej Unii wypadał na 664 małżeństw, to we dwadzieścia lat później wypadał już tylko na 481 małżeństw. Jest to to niezbitym dowodem upadku wytrwałości w stanie małżeńskim i zniechęcenia do niego. Nie potrzeba więc dziwić się, że wszyscy duchowni i wielu wybitniejszych ludzi w Ameryce domagali się od kongresu obostrzenia przepisów sądowych w sprawach rozwodu i wogóle położenia tamy rozwodom.

Jednakże księga p. C. Wright'a otwarła im oczy na istotne przyczyny złego. Pra-

---

męczyła, z drugiej strony byłam mu prawie wdzięczną za tak raptowane przywrócenie mi równowagi.

— A niechże im Bóg tego nie pamięta, wykrzyknęłam, śmiejąc się w duchu, co do mnie nie zapomnę im tego nigdy i, nie zwlekając już ani chwili przeciskałam się wraz z innymi ku drzwiom głównym.

— Tędy, proszę tędy, — słyszę niespodzianie głos znajomy, — ja panią przeprowadzę wygodniejszą drogą.

Poznaję ze zdziwieniem starą księżnę D. K., siostrę wielkiego bułgarskiego dygnitarza, która przemocą prawie bierze mię za rękę i wprowadza, przez jakieś boczne drzwiczki do małego pokoju, — pół zakrystyi, pół salonu.

— Wyznam pani, że nie spodziewałam się wcale spotkać z nią tutaj.

— Ani też ja z księżną.

— O, to wielka różnica: mam lat sześćdziesiąt połowa, ich zeszła mi na szukaniu prawdziwej drogi do prawdy i Boga — i oto teraz dopiero, w kościele tym, rządzonym bezpośrednio przez Ducha świętego znalazłam spełnienie długich pragnień moich. — Pani znacznie szczęśliwszą jesteś, bo tak wcześnie znalazłaś się na tej drodze i usłyszałaś głosy, spływające z góry.

— Przepraszam księżno, ale nikogo nie chcę w błąd wprowadzać; weszłam tu przez ciekawość tylko i wychodzę z tem, aby nigdy już niepowrócić.

Blada twarz księżny nagle zesztywniała.

— Pani jest katoliczką. Pr wałam i ja zbliżyć się do waszego kościoła i starałem się nawet spotykać w tym celu u generała Chanzy z ojcem G., dominikanem; a jednak przeczucie mi mówiło, że jakaś inna przyszłość mi wyznaczona i rzeczywiście, dzięki temu panu, który ku nam się zbliża, spadły łuski z mych powiek i trafiłam wreszcie do takich źródeł, jakich pożądałam przez całe życie.

Słuchałam z roztargnieniem ostatnich słów księżny, myśląc jakby się wymknąć i uniknąć spotkania ze zbliżającym się jegomością, w którym poznałam właśnie drugiego „proroka“.

Wstałam już z kanapki wyciągnęłam rękę na pożegnanie, gdy usłyszałam rekomendacyę:

— Pan R—mann, profesor języka i literatury niemieckiej w szkole handlowej, jeden z naszych wybranych, jak pani wiadomo.

— Słyszałem właśnie od pani N—ow, niedawno przybyłej do nas, lecz dziwnie żarliwej siostry, że pani z wielkim powodzeniem odbywa studya w stolicy naszej; słucha pani wykładów najrozmaitszych uczonych, ale dobry to znak dla epoki, jeżeli pociąg wewnętrzny prowadzi ją tam, gdzie może słyszeć głos nad głosy, — bo słowa samego Ducha świętego.

Drażnił mię ton namaszczenia, którym to mówił, uchylając przy ostatnich słowach głowę, lśniącą od jakiejś tłustej, nieznośnej pomady; drażniła mię zresztą cała jego namaszczona osoba.

— Tak — ciągnął dalej, — dziś, jak zwykle, byłem jego szczęśliwym narzędziem, bo choć otwierały się usta moje, sam jednak nie miałem nic do mówienia i rola moja całkiem bierną była...

— Bierne role mają podobno tę właściwość, — odezwałam się z cicha, — że nudzą zwykle swoich wykonawców; nic dziwnego więc, że i pan musiał się uciec do pomocy zegarka, żeby ją wreszcie zakończyć.

Zaledwie zdołałam słowa te wypowiedzieć, jak gwałtowny kurcz przeszedł po sponsowiałej twarzy mistyka-pedagoga. Cały zaperzony od gniewu, zwrócił się do mnie:

— I pani ośmiela się nazwać chrześcijanką? Pogańska dusza, pogańska niewyrozumiałość przemawia przez panią. Wątpi pani o najświętszej prawdzie, o najgłębszej wierze, dla tego tylko, żem się dopuścił tak małego grzechu, jak spojrzenie na zegarek!

— Zkąd że grzech znowu? Punktualność jest nawet wielką cnotą, a zegarek koniecznym jej warunkiem; przypomnieliście państwo o niej Duchowi świętemu, pozwólcie i mnie pomyśleć o niej we waszem towarzystwie. Jest już naprawdę bardzo późno, dawno już powinnam była być w domu.

Pożegnaliśmy się wśród sztywnego milczenia. Biedna stara księżna patrzała ze zdziwieniem na p. R—manna.

Wyszedłszy na ulicę, zauważyłam na trotuarze oczekującą na mnie N—ową, lecz uprzytomniwszy sobie jej łzy i wzruszenie

wodawstwo zawiniło tu najmniej i najmniej też potrafi zdziałać. Sama rozmaitość prawodawstwa Stanów jest wybornem polem do przekonania się, że liczba rozwodów wcale nie zależy od łatwości prawnego rozwodu. Są Stany, gdzie rozwody uzyskują się z nadzwyczajną łatwością, a jednakże liczba ich jest nieznaczną; są znowu takie, gdzie rozwody są utrudnione, a mimo to liczba rozwodów wielka. Księga Wright'a jasno wykazuje, że kobiety daleko częściej żądają rozwodów, niż mężczyźni, którzy domagają się ich prawie wyłącznie w wypadku złamania wiary małżeńskiej przez żonę, albo porzucenia przez nią męża, podczas gdy kobiety żądają rozwodu dla najrozmaitszych powodów.

Przyczyną złego jest nie prawodawstwo, lecz kwestya kobieca. Kobieta w Ameryce osiągnęła znaczne równouprawnienie z mężczyzną w sferze majątkowej, urzędowania, fachów niezależnych, a jednak objawia ciągle swe niezadowolenie, bo czuje się poniżoną, pragnie walczyć, a walczy coraz namiętniej.

Cóż na to poradzi kongres waszyngtoński?

St. Hłasko.



Listy z Berlina.

Berlin, 13-go maja.

(Treitschke i Geffken. — 200 letni jubileusz akademii sztuk pięknych.)

Nauka niemiecka poniosła dwie poważne straty w ostatnich tygodniach: Z widowni politycznej a jednocześnie z areny życiowej zeszli Henryk Treitschke i Henryk Geffken. Dziwna ironia losu wprowadza razem do kraju cieniów dwie te istoty, tak biegunowo sobie przeciwne. Podczas gdy pierwszy stawiał politykę ponad moralność a nauce kazał walczyć pod znakiem brutalnej pięści Bismarcka, drugi nigdy nie spuszczał z uwagi zasad humanitarności i kilkakrotnie podnosił głos szlachetnego protestu, gdy inni milczeniem pieczętowali okrucieństwa żelaznego księcia. Jest to tem dziwniejsze, że Treitschke częściej niż Geffken puszczał rakiety frazeologiczne na temat wolności i liberalizmu. Bombastycznym swym językiem wychwalał anglików za to, że otoczyli ochronnemi wałami prawodawstwa swą wolność osobistą. Niemców współczesnych nazywał niegodnymi potomkami przodków, nie znoszących wędzideł ograniczeń państwowych. Hołdował indywidualizmowi i domagał się, aby państwo abdykowało w wielu wypadkach na korzyść jednostki. Gdy jednak potrącał przypadkowo o nazwisko Bismarcka lub Prus, odwracał się tyłem do swych pięknych teoryi i przewracał wszystkie swe poglądy do góry nogami. W chórze narodów słyszał tylko jeden głos wielki i szlachetny: Prus. Cokolwiekby popełniły Prusy, rozgrzeszał je w imieniu historyi. Jaką jest metoda, którą się posługiwał w swych pracach historycznych? Jego „Historya Niemiec w 19-tem stuleciu“ jest dziełem bezwarunkowo pięknem pod względem formy; uwagi wypowiadane od czasu do czasu uderzają swą trafnością i subtelnością; obrazy świadczą o bogactwie wyobraźni i szerokim rozmachu pędzla, ale cóż z tego, kiedy Prusy są w jego oczach utożsamieniem Niemiec, wskutek czego lwią część pracy poświęca dziejom tego państwa, zapuszczając się w gęstwinę drobiazgów, gdy idzie o uniewinnienie tej lub owej karty pruskiej historyi. Gdy mowa jest o Prusach, Treitschke z uczonego pedanta staje się poetą i prorokiem. 5 tomów jego niedokończonej „Historyi Niemiec“ są smutnym pomnikiem spaczenia poglądów, jakie może sprawić zaślepienie szowinistyczne. Jest to tem dziwniejsze, że Treitschke był saksończykiem z urodzenia, synem saskiego jenerała-patryoty i bratem szermierza poległego w walce Saksończyków przeciwko Prusom. Jego wykłady uniwersyteckie, które cieszyły się popularnością w kołach bezmyślnych burszów-karyerowiczów, były echem jego „Historyi“ i tchnęły duchem bezgranicznego wstecznictwa i szowinizmu. Tutaj dopiero, gdzie jego myśli i słowa nie przechodziły przez cenzurę opinii publicznej, harcował on swobodnie na swym koniku polemicznym, obryzgując swych przeciwników pomyjami najgorszych wymyślań. Przez dwadzieścia kilka lat był redaktorem „Pruskich roczników“, które były doskonałem odbiciem jego ducha. Inne jego prace noszą charakter okolicznościowy i są wszystkie przesiąknięte ewangelią pruskiej wyłączności i reakcyi. Łatwo się domyśleć, że przyklaskiwał walce kulturnej i ruchom skierowanym przeciwko „obcym żywiołom“ pruskiej monarchii. Jeżeli mianował siebie liberałem, to chyba pod jednym względem zasługiwał na to miano. Żądał dosyć silnie tolerancyi w dziedzinie wyznania i przekonań naukowych. Tem chyba należy sobie wytłomaczyć, że nazwisko jego figurowało wśród podpisów 55-ciu profesorów, którzy zaprotestowali przeciwko projektowi zakneblowania ust, wygłaszających naukowe teorye z katedry uniwersyteckiej. W ostatnim tomie dopuścił się nawet wielkiej herezyi politycznej. Fryderyka Wilhelma IV opisał w tak niesympatyczny sposób, że on, nadworny historyograf pruski, ściągnął na siebie niełaskę sfer wyższych a raczej najwyższych. Przebąknął nawet raz o „niewdzięczności Hohenzollernów“.

O całe niebo wyżej stał od niego Henryk Geffken. Zachowawca z zasady nie zgadzał się na to, aby polityka musiała koniecznie deptać prawa moralności i gwałcić sumienia ludzkie. Z tego powodu namiętnie walczył przeciwko Bismarckowi, demaskując jego obłudną fizyognomię w angielskich czasopismach. Żelazny książę byłby niezawodnie zmiażdżył śmiałka, gdyby nie protekcya cesarza Fryderyka, z którym Geffken żył na przyjacielskiej stopie. Węzły tej przyjaźni zostały zadrzierzgniętemi w Bonn, gdzie obydwaj odbywali studya. Przyjaźń przetrwała jednak lata młodzieńcze obydwu. W 1873 r. Fryderyk posłał swemu przyjacielowi swe pamiętniki z 1870 r., w których światły arcyksiążę starał się ująć laurów kanclerzowi i zdegradować go na stopień średniego polityka, umiejącego zręcznie używać okoliczności jako wody na swój młyn. Po śmierci cesarza Fryderyka Geffken ogłosił jeden rozdział z tych pamiętników, a wtedy to na żądanie Bismarcka został aresztowanym, jako winny zdrady tajemnic stanu. Sąd jednak czuł się zniewolonym po 3 miesiącach śledztwa wypuścić Geffkena dla niedostatecznego uzasadnienia aktu oskarżenia. Geffken był znawcą międzynarodowego prawa. Ogłosił wiele prac specyalnych, a popularność zyskał sobie dzięki swemu zacnemu charakterowi i pięknym feljetonom w których dał dowody swego wszechstronnego wykształcenia i wytwornego, lekkiego stylu.

Tutejsza Akademia sztuk pięknych obchodziła w ostatnich dniach 200-letni jubileusz swego istnienia. Co przez ten długi okres czasu instytucya ta uczyniła dla sztuki, trudno powiedzieć, gdyż, zdaniem osób kompetentnych, zasługi te są minimalne. Tutajsza Akademia nie reprezentuje ani osobnej szkoły ani osobnego stylu. Dotychczas drepcze po deptakach rutyny i pedanteryi, naśladując obce oryginały i wykluczając wszelkie nowe prądy. Publiczność przypomniała sobie o istnieniu Akademii, dzięki pochodowi historycznemu, urządzonemu z okazyi jubileuszu. Jedna część przedstawiała w symbolach sztuki piękne, druga zaś wyobrażała procesyę z czasu założenia Akademii 200 lat temu. 9 muz z Heroldem na czele otwierało pochód, bogato obwieszone kwiatami powozy wiozły delegatów wyższych szkół Berlina i innych miast. Valerus z modelem antycznej świątyni w towarzystwie uczniów niosących w miniaturze bramę tryumfalną oraz bizantyjscy i gotyccy architekci wyobrażali rozwój architektury; istotę jej przedsta-

---

nie miałam chęci się z nią spotkać i przeszłam szybko na inną stronę. Zrozumiała to widocznie i zawróciła w najbliższą przecznicę.

* * *

Któregoś dnia, wchodząc po jakiemś przemijającem niezdrowiu, do naszej sali rekreacyjnej, zdziwiona byłam jej pustką niezwykłą podczas wielkiej pauzy.

Tymczasem drzwi od największego z naszych audytoryów otwierały się co chwila, wpuszczając coraz to nowych wchodzących. Domyśliłam się, że odbywa się tam jakaś narada, przyspieszyłam naturalnie kroku.

Ogarnęła mię odrazu atmosfera gorączki i podbudzenia. Półtysiączna, co najmniej, rzesza wypełniała ławki, okna, każdy cal przestrzeni, nawet kilka stopni wysokiej katedry, a na katedrze pani S., przełożona naszego komitetu administracyjnego, prowadziła jakiś dyalog z piękną, bujnie rozrosłą brunetką, przenoszącą ją wzrostem o całą głowę. Ogromne krucze warkocze żywo gestykulującej dziewczyny chwiały się ciężko nad siwą głową prezesowej.

Ale oto ta ostatnia występuje naprzód i odczytuje dobrze nam zresztą znany paragraf regulaminu, zakazujący wszelkich zebrań i narad gremialnych.

— Przypominam wam raz jeszcze, że zebrawszy się tu wbrew przepisom, narażacie na niebezpieczeństwo nietylko przyszłość swoją, lecz zarazem przyszłość samego zakładu. Stawiacie zwierzchność waszą w trudnej pozycyi wobec ministeryum, a wiecie przecież dobrze, co to dzisiaj znaczy.

W tem miejscu przerwał jej silny kontralt pięknej brunetki.

— Dziękujemy pani serdecznie za przestrogę. Wiemy zresztą same, że postępujemy nieprawnie, lecz żadne prawo nie zmusi nas nigdy patrzeć obojętnie na to, jak chwytają i wiążą nasze koleżanki. Tym razem uwięziono siostrę za to, że nie doniosła na brata, któremu za agitacyę wśród armii grozi wkrótce sąd wojskowy i szubienica! Oświadczam więc w imieniu wszystkich, że nie rozejdziemy się ztąd dopóty, dopóki zwierzchność nasza nie obieca nam natychmiastowego wypędzenia tej, która ich wydała, a mianowicie zdemaskowanego szpiega — N—owej!

* * *

W tym wypadku zwierzchność zakładu nie potrzebowała sobie łamać głowy nad pretekstem do eksmatrykulacyi: N—owa znikła sama bez śladu.

Czy operuje dalej w jakichś ciemniach?

Czy może „Ogień Oczyszczenia“ odrodził i jej potępioną duszę?

Beer.



wiał symbolicznie rydwan z dziewicą, u której nóg spoczywały kobiety przedstawiające różne style. Dalej postępowało rzeźbiarstwo znowuż z heroldem na czele: Fidiasz w orszaku najznakomitszych rzeźbiarzy greckich i rzymskich oraz włoscy geniusze pod wodzą Michała Anioła tworzyli część odpowiadającą rzeźbiarstwu i zamykaną przez rydwan, na którym stała niewiasta trzymająca rękę na Fidiaszowej głowie Jowisza. Apelles w towarzystwie Fabiusza Pictora i w otoczeniu swych uczniów przedstawiali antyczne malarstwo. Dalej szli koryfeusze szkół: hollenderski j. włoskiej, niemieckiej i francuzkiej. Pod fioletowo-bronzowym baldahimem wczu stało malarstwo w postaci jasnowłosej berlinki, mającej u nóg swych dwanaście barw w osobach niebrzydkich dziewic. Teraz dopiero następowała historyczna część we właściwem tego słowa znaczeniu. Na czele ciągnął dwór, w którego środku, zamiast kurfürsta i żony, widać było wydelegowaną ad hoc magnacką parę. Józef Werner, pierwszy dyrektor Akademii kroczył dumnie obok Schlütera, twórcy słynnego pomnika kurfürsta brandenburskiego. Burmistrz, ojcowie miasta i urzędnicy w czarnych galowych kostyumach prowadzili *profanum vulgum*. Cechy rzemieślnicze z insygniami, wozy powracające z polnej roboty, banda wędrownych muzykantów, procesya weselna i studenci, — wszystko to przesuwało się przed okiem publiczności. Pochód zamykała procesya przezwana „Fantazyą“. Król Lear słucha docinków swego błazna; u boku Elżbiety Brabanckiej jedzie Tannhäuser, a oto ukazują się fantastyczne postacie z Tysiąca i jednej nocy z haremem i czarnookiemi bajaderkami; Walhalla wydelegowała piękne walkirie; bohaterowie germańscy w zwierzęcych skórach i z rogami przypiętemi na głowach zamykali pochód, który udał się na wystawę, by w murach „Starego Berlina“ zakończyć z godnością uroczystość.

M.



TO I OWO.

Literatura a zadrukowany papier.

Z powodu ostatniego skandalu w prasie warszawskiej takie wypowiada zdanie A. Świętochowski w Nr. 17 „Prawdy“:

Ile razy dwóch „literatów“ pobije się lub nawymyśla sobie szczodrze, natychmiast w prasie naszej odzywają się tony smutne lub rozpaczliwe, z kazalnic dziennikarskich spadają gromy i ulewy łez, karzących i opłakujących „upadek literatury‘, obniżanie się „godności pisarskiej“ itp. A mnie zawsze wtedy ogarnia serdeczny śmiech, jak na przedstawieniu „komedyi omyłek“. Bo przedewszystkiem nie widzę wcale tego, co bolejących proroków pobudza do rozdzierania szat, mianowicie nie widzę w naszej literaturze ani karczmy, ani zaciętej walki około namydlonego słupa dla zdobycia zawieszonego na nim „garnituru“, ani jaskiń, w których kryją się opryszki, napadający i obdzierający podróżnych. Wszystko to u nas się dzieje, ale nie w literaturze. Od wielu lat daremnie tłomaczę cierpiącym mężom, że już wielki czas dla nich zejść ze stanowiska chińczyków, uważających każdy kawałek zadrukowanego papieru za rzecz świętą, za literaturę. Na tem stanowisku nie stoi już nawet nasz prosty chłop. Dopóki czcionek i tłoczni drukarskich używano wyłącznie lub przeważnie do objawień mądrości i natchnienia, miał ten chiński pogląd swoją zasadność; ale dziś, gdy owe środki techniczne służą zarówno uczonym i poetom, jak rajfurom do reklam i rachunków, trzeba być bardzo naiwnym, ażeby go wyznawać. Literatura jest to świątynia albo akademia; tuż przy jej gmachu lub opodal stoją rozmaite budowle i kramy, w których przebiegłość za pomocą drukowanego wyzyskuje głupotę, rozdrażnia nizkie instynkty, rozpala namiętności, dogadza słabościom ludzkim — zakłady, które się nazywają pismami peryodycznemi, a są rodzajem szynków, domów gry, knajp, sklepów z tandetą, biur pokątnego doradztwa itd. Na sto t. zw. organów prasy każdego kraju zaledwie czwarta część, a w pozostałych zaledwie jeden procent materyału należy do literatury; reszta stanowi artykuły spekulacyi, które jako produkty obojętne lub szkodliwe dziś wchodzą w obieg, a jutro tak giną, że nawet gałganiarka, wygrzebawszy je w śmieciach, nie podniesie. Jaki kram — taki pan. Fabrykacyą tych zadowoleń umysłowej nędzy lub zwyrodnienia nie mogą zajmować się dusze światłe i charaktery podniosłe, lecz chwytają się jej najzwyczajniejsi handlarze, którzy z równą zdolnością i chęcią wyrabiać i sprzedawać będą: mleko zaprawiane wapnem, herbatę z paprochów siana, nową odzież z przenicowanej starej, cukierki barwione aniliną, jak artykuły dziennikarskie o szkodliwości nauki, fałszerstwa cudzych przekonań, paszkwile, kłamstwa i obelgi polemiczne. Wybór tego lub innego geszeftu zależy jedynie od rachuby, na czem zrobią lepszy interes. Te hałaśliwe karczmy, te napastnicze bandy, te tandeciarskie sklepy, te warsztaty paszkwilu są wstrętne, szkodliwe, niepożądane, ale one istnieją i działają po za obrębem literatury i bynajmniej nie są u nas liczniejsze, niż gdzieindziej. We właściwej świątyni lub akademii wiedzy i twórczości artystycznej narodu zdarzają się czasem gwałtowne wybuchy sporów i gorszące starcia obrażonych ambicyj; zarówno wszakże u nas, jak wszędzie, są one bardzo rzadkie i prawie nigdy nie dosięgają tych granic, do których dochodzi bandytyzm dziennikarski. Gdyby Konopnicka, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Asnyk, Bałucki, ktokolwiek wreszcie z tworzących literaturę, w gniewie lub zawiści ukąsił przeciwnika zjadliwie — byłby to wypadek bardzo smutny i publicznego pożałowania godny; ale gdy to uczyni jakiś pokątny doradzca, dziennikarstwa, jakiś pismak, który nie należy do literatury, jakaś mizerna szczypawka lub padalec, uwijający się za żerem po za jej ścianami, nie warto o tem nawet wspominać publicznie. Kto się czuje siłą, powinien mieć dumę i nie wszczynać procesu a tem mniej walki z byle złą słabością; kto się uważa za arystokratę ducha powinien gardzić złorzeczeniami umysłowego motłochu. „Wszystko ci przebaczę — powiada o pewnym nieponiu Jean Paul — nie przebaczyłbym tylko tego, gdybyś chciał być moim przyjacielem.“ „Mój honor — pisze Heine — nie spoczywa w rękach pierwszego lepszego gazeciarza: pierwszy lepszy dziennik nie jest dla mnie trybunałem; ja mogę być sądzonym tylko przez przysięgłych historyi literatury.“ Oto jest stanowisko pisarza, czującego i szanującego swoją godność. Alboż to kucharka kowieńska nie mogła wyrzucić na głowę przechodzącego Mickiewicza obierzyn kartoflanych? Alboż ulicznik warszawski nie mógł pokazać języka Staszycowi? Alboż brutalny awanturnik nie mógł potrącić i obalić Krasińskiego? I czy który ze znieważonych pomyślałby o odwecie? Czy zaś ktoś wyrzuca obierzyny, pokazuje język i potrąca czynem w rzeczywistości, czy drukiem na papierze — to wszystko jedno. Nie trzeba tylko patrzeć po chińsku.

* * *

Słówko o naszej humorystyce.

(Z powodu wznowienia „Kuryera Świątecznego“,)

Warszawa 10 maja.

Przyznaję, że stęskniłem się za „Kuryerem Świątecznym!“ Przez tyle lat rozweselał nas, przez tyle lat śmialiśmy się serdecznie nad Zacofandrem i Postępowiczem, tak przyzwyczailiśmy się do rymowanych utworów, podpisywanych „Świąteczny“, z takiem upragnieniem czekaliśmy, co powiedzą Paweł z Gawłem, że stał się on równie prawie potrzebnym, jak rogalik, czy papatacz przy rannej herbatce. Kilkomiesięczna przerwa, zaszła w wydawnictwie dzięki sporom, które aż o sąd się oparły, nie ostudziła naszej sympatyi, ani też zerwała nici łączącej czytającą publiczność z pismem. Nawyknienie dużo znaczy, a Warszawa nawykła do dowcipów humorystycznego i bezpretensyonalnego pisemka. Wzięliśmy też z przyjemnością do ręki „Kuryerek“ „redivivus“ i nie znalazłszy tych dawnych dobrych zalet, które go cechowały, pocieszaliśmy się, że młodzi redaktorowie poprawią się w drugim numerze. Ale i ten drugi numer zawiódł nas, bo to nie ten poczciwy, stary „Kuryerek“. Dawny miał dużo dowcipu, a mało pretensyonalności, tu pretensyalność bijąca w oczy, gdy dowcip odleciał za góry i lasy.

Nie zrażamy się tem jednakże! Bynajmniej! Wiemy, jak trudny każdy początek, wiemy ile kosztuje organizacya wydawnictwa i jeżeli robimy uwagę, to nie dlatego, ażeby podcinać skrzydła młodemu przedsięwzięciu literackiemu, ale jedynie w tym celu, ażeby redaktor nowy wszedł na tory, któremi z tak dużem powodzeniem kroczył jego poprzednik. Tory to były bardzo prawidłowe i wykolcić się z nich nie byłoby korzystnem.

Prawda, że o ten humor u nas coraz ciężej, coraz on mozolniejszy, dowcip wykuwany w czoła pocie, pióra wolą zgrzytać, niż sypać iskierki, zastęp rzetelnych humorystów, w całem tego słowa znaczeniu, przerzedza się, maleje, w szeregach tworzą się luki, których nie wypełnia nikt. Kto bacznie przegląda humorystyczne pisma nasze, ten bez trudu dostrzeże, iż łatwiej daleko u nas o satyryków, niż o dowcipnych gawędziarzy. Z dawnej gwardyi, posiadającej dar śmiania się pełnemi ustami, pozostał może jeszcze Włodzimierz Pląskowski, Klemens Junosza i Franciszek Kostrzewski, młodzi inaczej siebie i drugich bawią. Humorystą prawdziwym nie jest Or-Ot, ani Duduś, bezwarunkowo największe talenty z młodych pisarzy, zasilających szpalty „Muchy“, „Kolców“ i „Świątecznego.“ Tworzą oni albo rzeczy poetyczne w szerszym stylu, albo głębszą satyrę, ale to nie humor, „Chirurgowie filozofii“ nie rodzą się jak grzyby po deszczu, o Rodociów trudno, Zagórski (Chochlik) omija pisma humorystyczne, Kośmiński umarł przed kilku dniami, skądże więc czerpać te siły literackie do zapełniania szpalt? Istotnie zadanie nie łatwe i to może posłużyć za znaczne usprawiedliwienie przed tymi, którzy chcieliby w naszych pisemkach widzieć coś w rodzaju wiecznie świeżych i wiecznie dowcipnych „Fliegende Blätter“.

Pocieszmy się jednak, że nietylko w Warszawie brak dobrych humorystów jest dotkliwy, chroma na tym punkcie i Kraków i Lwów, Poznań zaś wstąpił na najgorszą drogę — obrzydliwego paszkwilu. Nie godzi się zaś wcale ignorować lub lekceważyć lekkiej strawy piśmienniczej, i tu duże jest pole do działania, bo jak powiada El....y (gdzież te czasu, kiedy i on pisywał do „Kolców“?)

„Odkąd humor i jowialność
Przepędzono precz za bory,
Znikła wszelka naturalność,
Znikło zdrowie i kolory!

Nawet praczka piorąc płótno,
Jak Elektra wzdycha smutno!"

Ta trudność zdobycia dla pism piór skrzących dowcipem sprawia też z natury rzeczy, że poziom jego się obniża i współpracownicy coraz częściej uciekają się bądź do wygrzebywania na jaw spraw prywatnych, często wstrętnych, a zawsze dla ogółu obojętnych, bądź też do dowcipów, które w druku rażą i ujdą zaledwie przy kuflu piwa w niewybrednej kompanii. Tłuste koncepty, mające naśladować francuzki rodzaj, zbyt wyraźne mają cechy pochodzenia z knajpy, szpikowanie zaś wyrażeniami w rodzaju „blaszki" zamiast moneta, lub „frajda" i t. p. sprawia, że przeczytanie sprawia smak niemiły.

Że „Kuryer Świąteczny", na którego czele stoi dziś nie humorysta, co prawda, ale poeta, nie dopuści do takiego zabagnienia języka, jesteśmy tego pewni, jak również, że nie pozwoli, ażeby na jego szpaltach

„Pastwiono się wciąż na nowo
Nad ojczystą, słodką mową.

Nim pojawi się znów jaki humorysta z iskrą Bożą, starajmy się z tego, co mamy już, robić rzecz możliwie najlepszą, przedewszystkiem zaś wyplenić należy wszystko, co trąci jedynie kulisami, albo też karczmą.

T.

* * *

Ankieta w sprawie pojedynku.

„Neues Wiener Journal" zamieszcza odpowiedzi znanych osób, jakie otrzymał na rozesłaną ankietę w sprawie pojedynku. Emil Zola taką wyraża opinię: „Napisałem około trzydziestu romansów, ale w żadnem z moich dzieł nie poruszałem pojedynku. Powód tego poprostu ten, iż nie widzę w pojedynku żywiołu społecznego, któryby mi był bodźcem do rozmyślań albo obudził we mnie zajęcie. Pisałem o masach i o mieszczaństwie: moi ludzie się nie biją, prowadzą oni całkiem inne walki, niż na szpady i pistolety. Proszę się bliżej przyjrzeć, kto się właściwie pojedynkuje! U nas zaledwie kilka tysięcy ludzi, — pominąwszy armię, — uprawia pojedynek: ludzi z towarzystwa, licząc w to polityków i literatów, dziennikarzy i artystów. Cechuje to pojedynek jako instytucyę światową, która zbiera swoich adeptów w małem stosunkowo kółku. Sama ta okoliczność sprawia, iż nie należy kwestyi pojedynkowej przypisywać szczególniejszego znaczenia." — Juliusz Simon spodziewa się, że postępująca ciągle cywilizacya przyniesie poprawę w tym kierunku. Pisze on: „Filozofia i religia potępiają pojedynek, jako wykonany przez dwoje ludzi przeciw sobie akt gwałtu, nazywając go „zbrodnią moralną." Ostatnia dlatego, że dopatruje się w nim ciężkiego grzechu przeciw wszystkim pojęciom religijnym. Jako filozof — rodacy moi nadali mi ten tytuł, — jestem tedy przeciwnikiem pojedynku. Jednakże życie praktyczne, zmienne stosunki wzajemne między pojedyńczymi ludźmi, między różnemi sferami społecznemi, nie baczą na filozofię i stwarzają często położenia, w których nawet najzaciętszy przeciwnik pojedynku nie może go uniknąć. Ja sam, z natury człowiek spokojny, musiałem raz doświadczyć tego osobiście. A czy wiecie, kto mnie wyzwał na pojedynek? Zapalony wielbiciel Kościoła katolickiego i jego nauk, mój przyjaciel Montalembert. Sprawa listu, dotycząca osoby trzeciej, doprowadziła do rozterki między nami, i Montalembert, który potępiał zawsze pojedynek ze stanowiska religii, przysłał mi wyzwanie do walki. Na szczęście udało się naszym świadkom załatwić sprawę w sposób godny obu stron. Gdyby zgoda nie była nastąpiła, nabożny katolik i filozof skrzyżowaliby ze sobą szpady. Oczywiście jestem w dalszym ciągu przeciwnikiem pojedynku. Pisałem i przemawiałem często przeciw niemu. Ale zdaje mi się, że głos mój pozostał głosem wołającego na puszczy. We Francyi ludzie biją się w dalszym ciągu na pistolety i szpady. Pojedynek wywołują u nas także stronnictwa polityczne, które prowadzą ludzi odmiennych zapatrywań na plac boju. Co na to poradzić? Tu może tylko dopomódz czas: złagodzenie burz politycznych, poprawa obyczajów przyczynią się niewątpliwie do zmniejszenia liczby pojedynków. Pożytecznem byłoby ogłaszanie od czasu do czasu istniejących w różnych krajach praw przeciw pojedynkowi, w ten sposób bowiem możnaby zebrać materyał porównawczy dla poprawy i zmiany tych praw. Zastrzegam sobie zresztą, iż ja sam ogłoszę taką rozprawę; będzie ona mojem ostatniem słowem w sprawie pojedynku. Każdemu młodzieńcowi wszakże daję tymczasem radę następującą: Nie bij się nigdy, a jeżeli już inaczej nie możesz, w takim razie nie zabijaj przynajmniej przeciwnika!" August Strindberg przyznaje pojedynkowi pewną racyę bytu. Mówi on: „Pojedynek! Są Falstaffy, dla których honor jest tylko czczym wyrazem, i są niedołęgi, którzy się pozwalają za jedno słowo zabijać. Prawodawstwo nie ma potrzeby mieszać się do najpoufniejszych spraw prywatnych. Bo tem jest ten sąd Boży, zapomocą miecza i kuli, który utrzymał się w obyczajach specyalnie po to, by w ciężkich wypadkach uniknąć niedyskretnej ręki stróżów sądzącego sumarycznie prawa. W wypadkach ciężkich, — np. w sprawach miłosnych, dopóki kobieta pożądać będzie widoku walczących mężczyzn i dopóki dama wogóle warta jest ceny trupa.... Maurycy Jokai wreszcie mówi wyłącznie o Węgrzech: „Niestety, pojedynek jest u nas jeszcze złem koniecznem. Straszne to, iż muszę takie wygłosić zdanie, ale stosunki panujące w sferze politycznej i ekonomicznej nie pozwalają dotąd na zniesienie u nas pojedynku. Nie posiadamy jeszcze owej tolerancyi i owego spokoju, który nadaje życiu towarzyskiemu Anglików i Niemców charakter pokojowy".



Na Wyłomie.

(Emilia Sczaniecka.)

Dziwne, przedziwne tony zagrały mi w duszy, gdy w dziennikach miejscowych przeczytałem ostatnią wolę Emilii Sczanieckiej:

„Jeżeli umrę w Pakosławiu, trumnę moją ma zrobić porządkowy taką, jaką robi dla komornic."

„Kościół nie ma być ustrojony i żadnej nie ma być mowy".

„Grób proszę zaraz przygotować, skoro umrę, żeby pochowanie ciała zaraz nastąpić mogło, gdy je bez żadnej pompy przywiozą".

„Śmierć moja nie ma być ogłoszoną w dziennikach."

„Boże błogosław mojej ojczyźnie i mojej rodzinie".

I ułożyli ją w czterech deskach zbitych i na prostym wozie na cmentarz powieźli i bez wieńców, bez krasomówczych chórów spuścili do ziemi ojczystej, którą tak bardzo, tak bezgranicznie kochała.

Widziałem ją raz jeden w życiu. Pamiętam, — było to przed ośmiu laty, gdy jako młody student uniwersytetu wstąpiłem w progi Pakosławia. W salonach było rojno i gwarno, gdyż dnia tego w dobrach Emilii Sczanieckiej odbyć się miało polowanie. Młodzież i starszyzna z rumianemi od mrozu policzkami, w myśliwskich ubraniach zasiadła do stołów śniadalnych, gdy nagle drzwi się otwarły i mała, drobna, czarno ubrana staruszka zbliżyła się do nas. Zapanowała cisza, wszyscy powstali, by ucałować ręce panny Emilii, a ona uśmiechała się dobrotliwie, wodząc badawczem, poważnem spojrzeniem po gronie myśliwych. Coś w rodzaju zdziwienia i zarazem onieśmielenia ozwało się w jakimś zakątku duszy młodego studenta. Więc ta mała, ta słaba istota jest wielką Emilią, wielką bohaterką, wielką Samarytanką, wielką Polką! W jak nikłych kształtach obrał sobie siedlisko duch tak potężny. Urokiem siły, ogniem zapału nie promieniało oblicze, tylko spokój surowy i nieco zmęczenia osiadło na licach...

Po krótkiej chwili rozmowa wstąpiła na tory polityki bieżącej, potem rozlała się szerokim strumieniem po labiryncie tak zwanych kwestyi zasadniczych i uczepiła się programu pracy organicznej, przebrzmiałych haseł rewolucyjnych, ugody i opozycyi. Panna Emilia śledziła uważnie wątek rozmowy, dorzucając raz po raz krótkie uwagi, z których przebijała dążność do ścisłych określeń, niechęć do banalnych ogólników i jakby lekkie niezadowolenie z tego lekceważenia przeszłości, którem trzeźwa i oschła młodzież poznańska popisywać się lubi. Nagle padło jakieś słowo o zbrojnych ruchach narodowych, ktoś skrzywił usta, wymawiając rok 1863, ktoś zyzem spojrzał na pola Miłosławia i Ignacewa, a wtedy ta cicha, łagodna kobieta rzuciła na towarzystwo okiem zdziwienia. Nastała chwila bez słów. Potem panna Emilia głosem, z którego nie biło wzruszenie, lecz twarda, żelazna siła przekonania, przerwała ciszę. Mówiła długo, słów nie pamiętam, lecz treść utkwiła w pamięci: „Nie urągajcie porywom rozpaczy, krew nie płynęła na próżno. Kto wie, czy połowa z nas nie byłaby Polakami tylko z nazwiska, kto wie, czy w duszę narodu nie wkradłaby się obojętność, kto wie, czy serce miałoby wielką miłość i wielką nienawiść, gdyby nie te mogiły, na które rzucacie kamieniem. Krew powstań polskich to żar płomienny, który rozpalił całe pokolenia i mur potężny, który nas dzieli od wroga. Wy się może uśmiechniecie nad romantyzmem starej kobiety, lecz ja krwi tej urągać nie pozwolę. Wy tego sami nie wiecie, lecz ja wam mówię, że ona was grzeje, was karmi, was do ojczyzny wiąże."

Urwała, — nikt nie odważył się mówić. Ta mała kobieta rosła nam w oczach i była jak Miłość sama i samo Natchnienie, przed którem w prochu ukorzyć się musi zdawkowy mędrków krytycyzm.

W tym domu sprzęt każdy zdawał się śpiewać jeden wyraz: Polska. I szło to słowo od chaty do chaty, płynęło po niwach Pakosławia aż do najdalszych zakątków kraju, a było tak czyste, płomienne i wielkie, że w blaskach jego nikły małoduszne uprzedzenia, stronnicze zawiści i koteryjny fanatyzm. Panna Emilia pytała serc ludzkich, czy miłują Polskę, a gdy tam ojczyznę znalazła, wtedy nikogo, ani Henryka ani Pankracego, ni wolnodumcę, ni wyznawcę kościoła nie odepchnęła i w każdym brata witała. W domu jej znajdowały się pisma najróżniejszych odcieni politycznych, a gdy jeden z tych, co Polskę widzą tylko w ramach koteryi „ładu i porządku", wyraził pannie Emilii zdziwienie swoje, że w progi Pakosławia wpuszcza organa opozycyi, chorążych postępu i demokracyi, wtedy to wielkie serce odpowiedziało spokojnie: „Kto Polskę kocha, ten mi jest druhem serdecznym. Choćby się mylił, ja ręki mojej nie cofnę i witać go będę jak brata, bo to Polak, bo to nasz. A któż to powiedział, że

wy jedni znacie tę drogę, co ku wolności mój naród prowadzi?“

O jakże przed majestatem tej wielkiej miłości nikniecie mi w oczach wy wszyscy, co kroczycie dumnie na czele narodu i przywłaszczacie sobie monopol patryotyzmu, a każdej chwili macie przekleństwo na ustach, by w twarz je cisnąć tym, co Polskę równie jak i wy kochają, lecz barwą różnią się od was. Wy wiecznie pytacie: Henryk czy Pankracy? a gdy usłyszycie imię nienawistne, głosicie bojkot i z ambon świece łamiecie. Jacy wy nizcy i mali! W proch przed tą wielką umarłą!

Umarła. Ostatni promień gasnącego słońca był błogosławieństwem dla Polski. Więc za te, żeś ją tak bardzo ukochała, że to, żeś szła na pole walki, by rannych zbierać i krew tamować, co za ojczyznę płynęła, za to, że dla rozbitków polskich byłaś matką — Samarytanką, za to, że od ranka do nocy brzmiał okrzyk twój wielki: „Na mury“, za to, żeś rąk nigdy nie opuściła i pierwsza w szeregu znosiła kamienie do gmachu życia nowego, za to, żeś była jak źródło wody krynicznej, chłodzącej spieczone wargi wędrowców, za to, żeś smutnym radość dawała a z głodnymi chleb twój dzieliła, za to, żeś w zmartwychstanie ani jednej chwili wierzyć nie przestała, za to, że miłość twoja nie znała granic i słowem nie była, lecz czynem, — za to wszystko, opiekuńczy nasz duchu, zabierz w odlocie na drogę swoją żal i uwielbienie narodu.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Książeczka dla małych dzieci. (*Marya Weryho*. „Dla Józi“. Warszawa 1896.)

Nazwisko Maryi Weryszanki znane jest i u nas w Poznańskiem, bo tutejsze zakłady froeblowskie, a mianowicie wzorowo prowadzony zakład panny Puffke, posługują się w celach pedagogicznych jej wydawnictwami. Marya Weryszanka jest jedną z najwybitniejszych autorek w zakresie pedagogii dla drobnych dzieci; poświęcała się ona przez dłuższy czas studyom historyi i psychologii na uniwersytecie petersburskim, a później w zakładach szwajcarskich i francuskich kształciła się w pedagogii froeblowskiej; jest ona stałą współpracowniczką wielu czasopism dla dzieci, a rok w rok niemal wydaje bądź to śpiewniki, bądź podręczniki dla bon, bądź szeregi powiastek, zastosowanych do dziecinnych pojęć. Najświeższa jej książeczka nosi tytuł „Dla Józi“, a przeznaczona jest dla dzieci lat 6—8. Opowiadania zawarte w tem dziełku, tak treścią swoją jak formą, wystawiają nader korzystne świadectwo pedagogicznym zdolnościom autorki, świadcząc o zrozumieniu potrzeb dziecięcego umysłu i dokładnej znajomości psychologii dziecka. Prosty, bardzo prosty styl, prosta treść i prosty morał każdego opowiadania zalecają książeczkę tę jako znakomity podarek dla drobnych dzieci.

* * *

* Dr. Wojciecha Adamskiego Materyały do Flory W. Księstwa Poznańskiego, zebrał w osobną całość, wstępem i indeksami opatrzył Dr. Bolesław Erzepki, konserwator zbiorów Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Poznań. 1896. Czcionkami drukarni Fr. Chocieszyńskiego.

W tej szczupłej garstce prac naukowych, którą zabór pruski dorzuca do polskiej skarbnicy wiedzy, wyróżnia się korzystnie wszystko, co wychodzi z pod pióra dr. B. Erzepkiego. Publikacye tego autora odznaczają się bowiem nietylko znajomością przedmiotu, lecz sumiennością opracowania i poprawną metodą naukową, a wszystkie te zalety cechują i najświeższe wydawnictwo dr. Erzepkiego, którego tytuł podaliśmy powyżej.

Dr. Wojciech Adamski był jednym z tych lekarzy wielkopolskich, którzy nie zamykali się w granicach pracy zarobkowej, lecz wolne od zajęć zawodowych chwile poświęcali studyom naukowym. Rękopis obszernej pracy jego o florze wielkopolskiej zaginął niestety, ocalało zaś to tylko, co sam Adamski drukiem ogłosił w „Gazecie W. Ks. Poznańskiego“ z r. 1828. Jest to kalendarz flory wielkopolskiej, doprowadzony do miesiąca września i opatrzony trzema komentarzami czy też przedmowami, ułożonemi w formie listów do ówczesnego redaktora „Gazety“ J. Rabskiego. Praca dr. Adamskiego posiada nietylko znaczenie dla samej botaniki, lecz zawiera kilka ciekawych przyczynków do słownictwa polskiego i ludoznawstwa.

Wydawca p. dr. Erzepki, publikując po raz drugi zapomnianą pracę wielkopolskiego lekarza, zaopatrzył ją nietylko w skorowidze nazw łacińskich, polskich i niemieckich, lecz wykazał w krytycznym wstępie jej zalety i podał względnie dokładny życiorys autora. Ta biograficzna strona publikacyi cechuje sumienność wydawcy, który mozolnie pozbierał szczegóły, odnoszące się do życia i studyów botanika naszego, przypominając pamięci potomnych niemal zupełnie zapomnianego pracownika na polu nauki ojczystej.

* * *

Jan Kasprowicz. Warszawski tygodnik „Głos“ zamieścił studyum Jerzego Grota o naszym znakomitym poecie wielkopolskim Janie Kasprowiczu. Z artykułu tego cytujemy ustęp następujący.

„W przednowie, poprzedzającej tomik Poezyi Kasprowicza z 1889 roku, pisał T. T. Jeż słowa następujące: „Co do formy utwory wasze przedstawiły mi się, jako przeciwieństwo Bohdana Zaleskiego, który językowi nadał giętkość melodyjną, czyniącą z mowy polskiej jakąś promiennością przeniknioną pyłkowość, przeznaczoną na „kojenie serc i ucha“ — podczas kiedy akcenty mowy tej samej w ustach waszych mają w sobie coś surowego, twardego, szarpiącego, targającego i, rzekłbym, dzikiego i mimo to, raczej dlatego właśnie, wywierającego urok dziwnie pociągający“. Spostrzeżenie to, skoro już raz zostało wypowiedziane, będzie z pewnością uznane za niezmiernie trafne przez każdego, kto czytał Kasprowicza. Jest ono trafnem zarówno co do formy, jak — dodajmy to od razu — co do treści jego poezyi. Trafnem jest jeszcze to szczególniejsze porównanie przez przeciwstawienie w danym wypadku, nietylko dlatego, że istotnie ów Bohdan, ów „słowiczek“ romantyzmu jest antytezą rytmiki Kasprowicza, lecz również i dla tego, że porównać Kasprowicza z kimkolwiek przez podobieństwo — jest dziś istotnie rzeczą niemożliwą. Jest coś odrębnego, całkiem własnego w mowie tego poety, coś, co jego samego wyodrębnia spośród innych i pozwala go uważać za całą oddzielną kategoryę, cały rodzaj poetycki nowo-kreowany.

Jednocześnie — i tu jest dowód, że tak oryginalny talent nie jest jakiemś dziwactwem, jakiemś curiosum literackiem, lecz literackiem zjawiskiem doniosłego znaczenia — w odrębności tej ucho łowi jakiś ton potężnie swojski, głęboko właściwy mowie, jakiś nastrój bardzo usprawiedliwiony. Ledwie się ten wiersz, pozornie chropawy, odczytało, łamiąc trudność nowości, a już się jest głęboko przekonanym, że ta nowość leży jednak w naturze języka. Jest to wrażenie podobne do tego, kiedy ktoś, np. nawykły do gwary miejscowej posłyszy inną, równie czystą gwarę tej samej mowy i, mimo całej różnicy, od razu czuje jej prawowitość.

I rzeczywiście: jedną z tajemnic oryginalności mowy Kasprowicza jest niewątpliwie ta barwa wielkopolskiej odmiany mowy naszej, którą tak silnie akcentuje jego język, a z którą język literacki, głównie z małopolskich i mazowieckich źródeł dziś zasilany, zna się niezbyt blizko. Jest jeszcze druga przyczyna tej odrębności. Czytelników Kasprowicza uderzają nietylko wyrazy z ludowego słownictwa czerpane lub na ludowych wzorach budowane — owe choróbska, kościska, zyrdy, mendle, a wej itd. — których autor nie żałuje, ale również i sam styl autora. Trudno nie zauważyć, że styl ten jest inny, niż styl nietylko literacki, ale nawet potoczny klas inteligentnych. Jest tu wprost inna budowa zdań złożonych — zgoła składnia inna przy rytmice, bardzo się z nią zgadzającej. Jest to istotnie składnia pogwarki ludowej, chłopska składnia. Nie ta składnia, znana już nam do zbytu z krakowiaków i kujawiaków i stanowiąca dziś jeden z utartych schematów pieśni naszej, ale składnia ludowej gawędy na dłuższą metę, ludowej mowy potocznej.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Według układu między p. Hellerem a Pawlikowskim opera lwowska zjeżdża na trzy letnie miesiące do Krakowa. — W warszawskim teatrze wielkim wystawiono nowy balet pt. Dama kierowa. Jest to przeróbka z francuzkiej feeryi „Rouge et Noire“ p. baletmistrza Grassi z muzyką p. Spetrino. — Na scenie radomskiej wystawiono siłami amatorów operę Moniuszki „Flis“ — Nowa opera Alfonsa Duvernoy pt. „Hela“ doznała w Paryżu średniego przyjęcia. — Umarł Wacław Sawiczewski, laureat na lwowskim konkursie dramatycznym, autor dramatu „Na Bezdrożach“. Szkoda młodego talentu, który w samym początku literackiej karyery swojej zdradził niepospolitą orginalność i siłę. — Krotochwila Ryszarda Ruszkowskiego pt. "Jadzia wdowa“ zjednała sobie na krakowskiej scenie względy publiczności i krytyki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. L. w Gnieźnie. Zachodzi tu pomyłka ze strony niemieckiego autora. Łacińska litera „H“ oznacza w rosyjskim alfabecie nasze „N“. Litery **K. T. H.** są zatem skróceniem wyrazu „**katorżnyj**“. Identyczność z znanem godłem spółki antipolskiej jest zatem tylko pozorną, a zresztą wypalano owe litery, nietylko na czole zbrodniarzy, lecz i na czołach najszlachetniejszych ludzi.

Niezapominajka z zapadłej prowincyi. Dziękujemy z całego serca za te złote wyrazy sympatyi. Artykuł o nowszych wydawnictwach pedagogicznych zamieścimy chętnie.

L. Ł. Odpowiedź na tę broszurę zamieścimy w przyszłym numerze. Przypuszczenie, że wyszła ona z pióra gimnazyasty, jest mylne.

AFORYZMY.

Dla geniuszu przeszkody życiowe są — oliwą, dla zwyczajnego człowieka — wodą, dolaną do ognia.

Często wzrok zadaje głębsze rany, niż usta.

SPROSTOWANIE.

W nagłówku artykułu „Leon Say“ zamieszczonego w przeszłym numerze czytać należy zamiast „umarł w r. 1856“ — „umarł w r. 1896“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28